CENA 15 ZŁ
(WRAZ Z CEGIEŁKĄ NA DOM SŁOWA POLSKIEGO)

CZYTELNIK

Odra
Tygodnik

Odra jest rzeką politycznej koncepcji Polski Piastowskiej.
Józef Kisielewski: „Ziemia gromadzi prochy“

NUMER 39 (96) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 28 WRZEŚNIA 1947 R. ROK III

BIBLIOTEKA POMOCE NAUK. SZKOŁA HANDLU MORSKIEGO GDYNI

MARIAN GOTKIEWICZ

Nowa Pojana pod Sobótką

Na Ziemiach Odzyskanych stapiają się dzieje wszystkich ziem polskich w jedną historię jednego narodu. Osadnicy polscy wnoszą tu obok własnej pracy własną pieśń i obyczaj, historię opuszczonych dziedzin, historię swych rodów. Jak dziwne czasem są jej ścieżki, opowiada nam poniższy artykuł.

Jeszcze jej nie znajdziecie pod tą nazwą na mapie, ale już powstaje. Gdzie? Pod Sobótką, świętą górą Ślęzan w powiecie dzierżoniowskim. — Posłuchajcie, historia jej jest na prawdę ciekawa.

Bo oto Nowa Pojana staje się siedzibą repatriantów naszych z bukowińskiej wioski Pojany Mikuli, mniej więcej w tych stronach pod Ślęzą Górą, które były przed wiekami kolebką wielu ich rodów.

Są między tymi repatriantami Wawrysze, Budasze, Świętki, Kurzysze, Drozdki, Paździory, Staszkowiany, Stodolice, Ganczary, Tkacze, Zielonki, Juraszyki, Polaczkowie, Kuczaki, Kucharkowie, Buganiki, Lehoccy, Bielesze, Szwancary, Machacze, Najduki, Syguty, Muniaki, Balaki, Gomóły, Smolki, Knapy i Ramszaki. Niektóre z tych nazwisk znaleźć można w najstarszych zabytkach języka polskiego na Śląsku, inne powstały później, już w Karpatach, w dolinie górnej Wisły, Soły i Olzy, ku którym posuwało się z biegiem czasu polskie osadnictwo od ziemi wrocławskiej i opolskiej. Większość tych nazwisk dochowała się po dzień dzisiejszy w okolicach Jabłonkowa, Istebnej i Żywca. Pisałem o nich w artykule „Szukamy krewnych na Bukowinie“, drukowanym w „Zaraniu Śląskim“ (r. XIV, 1938, z. 5) i w rozprawce „Polskie osadnictwo Czadeckiego i Orawy“ (Wyd. Instytutu Śląskiego, Katowice 1939).

Fot. Kaz. Grabowski

Pojana Mikuli z częścią środkową zwaną „grapą“.

Fot. M. Gotkiewicz

Józef Kucharek, repatriant z Pojany Mikuli, walczył w armii polskiej idącej na Berlin.

Już w XV, głównie jednak w XVI i XVII w. element polski przekracza lesiste grzbiety beskidzkie na zachód od Gorców, osiedla się na południowych stokach Babiej Góry, Pilska i przełęczy Zwardońskiej i Jabłonkowskiej w dorzeczu górnej Orawy i Kisucy. W sporach o polityczną przynależność tych świeżo skolonizowanych terenów wychodzi zwycięsko zwierzchność węgierska, polscy górale orawscy i czacańscy stają się jej poddanymi.

Pod koniec XVIII w. strony te są już przeludnione. Lud polski emigruje do „Dolnej Ziemi“, osiada tam między żywiołem węgierskim, to znowu w Centralnych Karpatach między Słowakami, gdzie czeka go nieuchronne wynarodowienie. W r. 1803 znaczna grupa polskich górali z okolicy Czacy udaje się na Bukowinę, od r. 1775 przynależną do Austrii, i osiada w Kaliczance na przedmieściu Czerniowiec, a także w Starej Hucie — Krasnej, Terebleczu i Hliboce. W czwartym dziesiątku ubiegłego wieku jest już im tam za ciasno i dlatego szukają nowych siedzib. W roku 1834 powstaje ich rękoma wśród lasów zbudowany Nowy Sołoniec, w r. 1836 wieś Plesza, a w r. 1842 Pojana Mikuli. Mieszkają wśród obcych, stają się częścią składową dziwnego konglomeratu etnicznego, złożonego z Rumunów, Rusinów, Niemców, Węgrów, Żydów i Lipowian, któremu na imię: austriacka Bukowina.

Czy zdołają zachować swą polskość?

Brak im polskich księży, brak polskich nauczycieli, powszechnie zwani są „Słowakami“, jako że przyszli ze Słowaczyzny, gdzie konskrypcje urzędowe nie uznają narodowości polskiej ich braci, którzy w domu na Górnych Węgrzech pozostali. Również i tu na Bukowinie figurować będą długo, bo aż do r. 1890, na listach spisowych w rubryce narodowości słowackiej i żaden ze statystyków niemieckich, czy to będzie Czörnig, Schmitt, Schimmer czy Ficker stanu tego w publikacjach swych nie skoryguje, chociaż mowa ludu tego jest polska, chociaż gwara jego ta sama co na Górnej Orawie i w Czadeckim. Czyż leży to bowiem w interesie niemczyzny, by wzmacniać liczebność elementu polskiego w tworzącym się bukowińskim konglomeracie? Raczej przeciwnie!

Czy w takich warunkach nasi górale zdołają swą narodowość utrzymać?

Osadnicy z Tereblecza skarżą się w latach 1835 i 1836 nie tylko na samowolę dzierżawcy, przeciążającego ich robociznami, ale również na zbytnie oddalenie ich wsi od kościoła i szkoły w Serecie. Są niepiśmienni, lecz chcą by dzieci ich czytać i pisać umiały. Proszą, wspólnie ze swymi krewnymi z Krasnej, o nadanie im ziemi w majątku Solka, gdzie mogliby wspólnie założyć wielką czysto polską osadę. Urząd powiatowy decyduje się dać im lesistą dolinę Humory „odwiedzaną tylko przez myśliwych i różne elementy bandyckie“. Ale komisja gospodarcza złożona z samych niemieckich urzędników, dokonująca w sierpniu 1838 r. lustracji tej doliny, postanawia oddać Humorę w jednej tylko połowie Polakom — tym z Krasnej; Terebleczanie niech dalej na łaskę czekają — w drugiej zaś Niemcom sudeckim, którzy właśnie w ostatnich miesiącach z Czech nadciągnęli. W ten sposób powstaje w r. 1842 w dolinie Humory polsko-niemiecka wieś Pojana Mikuli; w dolnej jej części osiada 40 rodzin polskich z Krasnej — Starej Huty, w górnej zaś 41 rodzin Niemców sudeckich.

Ciągną owi „Sudetendeutsche“, tędzy drwale i zmyślni tkacze, Kisslingerowie, Beerowie, Reitmajerowie, Langowie i Hacklowie z Zottelbergu, Schinhofenu, Schneewiesenu, a nie brak i Hofmannów z Jeleniej Góry na Śląsku. Ciągną z dobytkiem na wózkach w psy zaprzężonych. Na świeżych karczowiskach wśród prapuszczy nad górskim potokiem powstają ich domy na sposób bawarski stawiane, podczas gdy nasi Czacanie budują chaty o ostrych kalenicach na modłę własną góralską.

Walka z puszczą jest ciężka, szczególnie zaś pierwsze lata są trudne do przetrwania, gdyż wbrew zawartym umowom nie są one wolne od podatków. Rok 1846 jest rokiem nieurodzaju, spowodowanego długotrwałymi deszczami. Władze zamiast przyjść z pomocą mieszkańcom Pojany i sąsiedniej Pleszy, dotkniętym klęską głodową, nakładają na nich w r. 1847 jeszcze jeden ciężar, jakim jest powinność zbudowania i utrzymywania strażnicy wojskowej czyli tzw. czardaki. W roku 1848 grasuje w Gura Humorze i wsiach okolicznych epidemia cholery, zawleczona w te strony przez oddziały wojskowe. Wiele sztuk bydła i owiec pada ofiarą drapieżnych wilków i niedźwiedzi. Sprzedaż potażu i gontów wywożonych do Radowiec przynosi bardzo skromne dochody. Zboże mielone w niezmiernie odległym młynie w Arbora nie zaspakaja potrzeb ludności. Komunikacja ze światem niemal nie istnieje. Błagalne prośby o pomoc wysyłane do cesarza w latach 1847 i 1848 są świadectwem opłakanego stanu materialnego, w jakim wtedy znajdowali się pojańczycy i pleszanie. Były to jednak głosy wołającego na puszczy. W Solce usłyszeli petenci krótką odpowiedź od kierownika gospodarczego urzędu: „Der Himmel ist hoch, der Kaiser ist weit“. Wtedy to powstała żałosna piosenka:

Panie nasz, Boże nasz,
Nie zabywaj na nas;
Jak zabydziesz na nas;
Coże bydzie po nas?

Widząc, że u miejscowych czynników nic nie wskórają, wysłali ok. r. 1850 nasi górale wspólnie z niemieckimi współobywatelami Pojany dwóch delegatów do Wiednia z prośbą o umniejszenie im ciężarów a także o przysłanie im duszpasterza, który by znał język niemiecki i polski.

„Dlaczego delegaci nie prosili o księdza znającego język słowacki?“ — zapytywał w jednym ze swych artykułów sędziwy Józef Kucharek przed 10 laty, gdy Niemcy i Rumuni wmawiali jego synom i wnukom w Pojanie Mikuli, że są potomkami Słowaków. I dał na to pytanie jedynie słuszną i logiczną odpowiedź, która brzmiała: „Bo byli i czuli się Polakami“.

W przeciwieństwie do Niemców żaden z naszych pojańczyków nie umiał jeszcze w r. 1850 podpisać się na podaniach słanych do kancelarii cesarskiej, sprowadzili więc sobie do wsi nauczyciela-Polaka z Litwy rodem, nazwiskiem Kordus, który prywatnie dzieci ich nauczał. We wsi istniała szkoła od r. 1856, uczyli w niej niemieccy nauczyciele, tak, że dzieci polskie uczęszczające na naukę wspólnie z niemieckimi, nie wiele z niej korzystały. W takich warunkach frekwencja dziatwy polskiej stawała się z roku na rok coraz to gorsza. Radykalna zmiana zaszła w roku 1883, gdy kierownictwo szkoły objął Józef Grabowski, który wraz z swą małżonką przywrócił szkole należny autorytet. Jego to zasługą było założenie wzorowego ogrodu i 7-morgowego gospodarstwa przy szkole, promieniującego przykładem na wieś całą, przy czym hodowla bydła i nierogacizny oparta na nowoczesnych metodach weszła w nową fazę. Obok nowego budynku szkolnego przeznaczonego dla dzieci niemieckich, stanęła w r. 1892 w dolnej części wsi druga szkoła, w której oddzielnie poczęły pobierać naukę dzieci polskie w ich ojczystym języku. W r. 1896 już po opuszczeniu Pojany Mikuli przez Józefa Grabowskiego, stanął na miejscu drewnianej kaplicy nowy kościółek z kamienia, położony w samym środku opodal mostu, dzielącego dolną część osady od części górnej, niemieckiej. Pojana Mikuli stała się samodzielną parafią, a jej mieszkańcy nie potrzebowali już chodzić na nabożeństwa do odległej Gura Humory, gdzie księża nie znali języka polskiego, Co prawda to i późniejsi proboszczowie w Pojanie Mikuli nie zawsze byli Polakami. Nie brakowało w ich rzędzie Niemca, Rumuna a nawet Słowaka. Ten ostatni, nazwiskiem Zales, przyznawał zresztą głośno, że się musi dopiero uczyć polskiej mowy swoich parafian.

Fot. Ks. Henryk Wochowski

Orszak weselny pojańczyków.

W tym samym czasie, gdy Józef Grabowski prowadził pracę oświatową w Pojanie, sąsiednie wsie Plesza i Nowy Sołoniec jeszcze szkoły nie posiadały. Jest to bardzo ważne stwierdzenie, gdyż koło r. 1900 zacięty hakatysta, jakim był Raimund Friedrich Kaindl, profesor niemieckiego uniwersytetu w Czerniowcach, rozpoczął słowem i drukiem zawziętą kampanię, dążącą do zaliczenia naszych górali przez oficjalne czynniki na Bukowinie do rubryki narodowościowej słowackiej, tak jak to czyniły one do r. 1890. Głosił on wraz z kilku niemieckimi lub zniemczonymi działaczami, że pojańczycy, sołończanie i pleszanie są spolonizowanymi w swych wioskach przez kościół i szkołę Słowakami. Było to wprawdzie twierdzenie gołosłowne, przeczyła mu polska gwara naszego ludu, przeczyły fakty, że poza Pojaną i Czerniowcami inne ośrodki góralszczyzny jeszcze w r. 1890 ani księży, ani nauczycieli polskich nie miały, ale cel uświęcał środki, a celem było: osłabić element polski stwarzając jego kosztem mniejszość słowacką. Więc w r. 1910 znowu zaliczono polską ludność tych trzech wiosek — zgodnie z życzeniem Kaindla — do rubryki narodowościowej słowackiej i dopiero energiczny protest ich wójtów i specjalnej delegacji wysłanej do starostwa czerniowieckiego wpłynął na zmianę stanowiska władz, które w późniejszych publikacjach skorygowały wynik tego spisu.

Fot. M. Gotkiewicz

Grupa pojańczyków w Olesznie pod Sobótką (1947).

W r. 1937 mieszkało w Pojanie Mikulu 868 Polaków, wliczając już w tę cyfrę tzw. „Słowaków“, którzy wtedy zdeklarowali się posyłać swoje dzieci do szkoły słowackiej, powstającej w Pojanie na miejscu szkoły polskiej, zamkniętej przez władze rumuńskie.*) Ci tzw. Słowacy stanowili około 30 % ogółu polskiej ludności. Natomiast Niemców pojanomikulskich było w roku 1937 — 952. A przecież liczba jednych i drugich była w r. 1842 niemal taka sama. Myliłby się kto by tę różnicę tłumaczył większym przyrostem naturalnym Niemców lub niemczeniem się Polaków. Nie! Przyczyna tego tkwiła w tym, że Niemcy w mniejszej liczbie emigrowali z Pojany (do Paltynosy, Dumbrawy i do Brazylii) niż Polacy, którzy masowo przesiedlali się w latach 1875—80 do Laurenki, Dunawca, Dawidendów-Zrębu i Panki na Bukowinie niezależnie od tego, że emigrowali także do Mołdawii, Bośni, Slawonii i Brazylii. Rozpływali się po świecie, wsiąkali w obce narodowości.

A oto opowieść o dalszych losach Pojany Mikuli. Szkoła słowacka (obok lichej zaniedbanej szkoły rumuńskiej) faworyzowana przez niemieckiego okupanta, utrzymała się przez czas wojny do wiosny 1944 r. Nie było już we wsi — co prawda — najgorliwszego jej protektora, tj. proboszcza Kurta Benscha. Opuścił on jeszcze w r. 1940 swą parafię, udając się z niemieckimi rodakami na tereny polskie wcielone do zwycięskiej Rzeszy. Szedł owego pamiętnego dnia, posłuszny wezwaniom Hitlera, na czele pojanomikulskich „Sudentendeutschów“, wymachując ostrokanciastą swastyką i śpiewając zadzierżyście.

Vor uns die Zukunft, deutsche Fahne flieg,
Vor uns der Führer und mit ihm der Sieg.

Potem został ogłoszony pobór do wojska rumuńskiego, sprzymierzonego z armią hitlerowską. Któremu z mężczyzn nie udało się zdezerterować, ten musiał krwawić się za obcą sprawę na polach Besarabii i wybrzeżach Krymu. I stało się jeszcze ciszej i puściej w Pojanie, Pleszy i Nowym Sołońcu niż zazwyczaj.

Fot. M. Gotkiewicz

Zasłużona rodzina Kucharków z Pojany Mikuli w Gutwinowie na Dolnym Śląsku.

Potem przyszła owa wiosna, pamiętna wiosna 1944 roku. Zwiastowały ją pomruki armat idące w nawrocie burzy wojennej od Krymu i Kaukazu. Front się zbliżył do gór Bukowiny. Gdy z końcem kwietnia 1944 r. dowództwo niemieckie zrozumiało, że nie zdoła powtrzymać naporu armii czerwonej, powzięło decyzję spalenia Pojany Mikuli, której większość mieszkańców uparcie obstawała przy polskości, Pojany, z której wielu chłopców uprawiało partyzantkę. Pożar wsi opiewają proste nieuczone słowa ludowej piosenki, śpiewane na nutę dumki: „Gdy po trzech latach z wojny powrocałem“. Oto one:

W niedzielę wieczór na pierwszego maja,
Gdy nasze dziatki spać się układają
Biada wam matki, biada staruszkowie,
Biada wam dziatki. Jak było opowiem.

Gdy esesowcy do wioski wkroczyli
i z Rumunami rozkazy dawali,
Ach straszna trwoga, strach nieopisany,
Błagam litości, Rumuni, nad nami.

(Dokończenie na str. 4)

---

* Stało się to w okresie zamykania mniejszościowych a więc i polskich szkół w Rumunii. Jedynie mniejszość czechosłowacka znajdowała się wtedy w położeniu uprzywilejowanym a to na mocy umowy zawartej 22. 10. 1936 r. między Czechosłowacją i Rumunią, miała bowiem zastrzeżone prawo do zakładania szkół czechosłowackich w każdej gminie znajdującej się na obszarze królestwa Rumunii, w której znajdzie się 30 dzieci języka „czechosłowackiego“ w wieku obowiązującego nauczania. Słowaccy nacjonaliści z Rużomberka i Bratysławy cieszący się poparciem kół hitlerowskich i niektórych wpływowych czynników rumuńskich dołożyli wiele starań, aby w momencie kasowania szkolnictwa polskiego pozyskać wśród Pojańczyków owych 30 dzieci potrzebnych im do otwarcia szkłoy słowackiej (żadne z tych dzieci nie umiało mówić po czesku lub po słowacku). W rezultacie szkoła słowacka w r. 1936 powstała i okropny nastąpił rozłam w rodzinach polskich, a działacze słowaccy jak ks. Makosz, ks. J. Malec i Rudolf Kowalik triumfowali. Również Niemcy owiani ideą kaindlowską ręce zacierali, że im się wreszcie udało osłabić polską mniejszość na Bukowinie. Można by wiele pisać o roli, jaką przy tym odegrali słowaccy działacze z faszystowskiego obozu ks. J. Tiso. Można by wiele pisać o tragicznych przeżyciach tych, którzy oparli się agitacji ks. Malca, ks. Makosza i późniejszych proboszczów w Pojanie: ks. Breabanu (Rumuna) i ks. Kurta Benscha (Niemca). Można by wiele pisać o duchu poświęcenia i niezłomności tych rodaków naszych, którzy nie poszli na lep obcej propagandy i wzgardzili korzyściami materialnymi, byle tylko nie sprzeniewierzyć się swej Ojczyźnie.

STEFAN SULIMA

Śmietnik

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Zanim przystąpię do publikacji materiału zebranego w tegorocznej włóczędze po Pomorzu Mazowieckim, chciałbym się dobrowolnie pozbawić jednego z najwdzięczniejszych tematów do felietonu w tonie efektownej jeremiady.

Fot. St. Sulima

Braniewo. Tyle zostało z frontonu Hosianum . . .

W ostatnim tygodniu podróży wpadłem na niecodzienny pomysł przekopywania napotkanych . . . śmietników w zrujnowanych budynkach i poszukiwania leżących dwa i pół roku po usypiskach resztek dóbr kulturalnych. Przypadek nakierował mnie na tę myśl, efekty poszukiwań na gruzy Hosianum w Braniewie.

Może nie za wielu kulturalnych ludzi w Polsce orientuje się dokładnie w znaczeniu brunsberskiego ogniska kultury polskiej, rozpalonego gwoli podsycenia kontrreformacji na północy Warmii — sądząc z tego, co napiszę. Może niezbyt powszechna jest znajomość roli samego Liceum Hozjańskiego, przez wieki pierwszej polskiej uczelni nad Bałtykiem. Tym bardziej warto wspomnieć o jej żałosnym końcu i choćby via skandal pomnożyć jej wygasłą sławę.

Żmudna to i niewdzięczna rzecz szukać li tylko z pomocą „prywatnej inicjatywy“ placówki hozjańskiej w Braniewie. Zaledwie ze starą fotografią w ręku zawiedzie rzadkiego poszukiwacza zdziwiony Niemiec na kupę zwalisk opodal ruiny „kamiennego domu“ (seminarium duchownego), skąd tylko wyziera jedno stylowe okno. Kompletna obojętność otacza to miejsce, jak na urągowisko „zabezpieczone“ wraz z okolicą wypalonego ratusza niskim tandetnym oszalowaniem, nie stanowiącym najmniejszej przeszkody dla osobników ludzkich powyżej 5, a poniżej 90 lat życia.

— Oto „to“, czego pan szuka — objaśni beznamiętnie przewodnik.

To dopiero pierwsza kropla goryczy. Trzeba się teraz wspiąć po resztce ścian, po stosie rumowiska, by doznać silniejszego, niż pierwsze wrażenie, wstrząsu. Już przez boczną bramę wjazdową można zerknąć z ulicy na potężne usypisko murów i potrzaskanych belek i dojrzeć blade, sflaczałe plamy na nieświeżej czerwieni cegieł i czerni drzewa. Na rumowisku walają się książki . . .

I to odkrycie stanowi tylko przejście do dalszych tragicznych olśnień. Gdy się wstąpi na zwały liceum, oko odkrywa pod gruzami coraz to nowe warstwy przegniłej, zbutwiałej lub tylko namokłej masy ,a idąca w ślad ręka dokopuje się całych, jakkolwiek przez wilgoć nadniszczonych tomów.

To biblioteka Hosianum daje znać o sobie, że ani czas, ani ząb kapryśnego nadmorskiego klimatu nie zdołały jej zupełnie unicestwić. Sterty dysertacji uniwersytetów niemieckich z wszystkich dziedzin nauki, resztki słowników, leksykonów, prac, a zwłaszcza czasopism naukowych, wszelkiego rodzaju periodyki pokrywają grubą warstwą ponure ruiny. Spod zwalonych sufitów i belkowań, które padły na dawne sale biblioteczne, wyzierają pełne książek szafy, jak się okazuje reprezentujące głównie dział czasopism w kilku językach. Na wyrywki można tam wyłowić: Arbeiten aus dem botanischen Institut der kgl. Akademie (vorm. Kgl. Lyceum Hosianum) Braunsberg, Ostpreussen, Annuario della R. Universita degli Studi di Padova (kilkanaście roczników, niektóre jakby wczoraj wywalone na śmieci), Litterarisches Centralblatt, wydawnictwo seryjne Biblioteca Reformatoria Neerlandica, kwartalne biuletyny British Museum, Revue de Litterature Comparée, Preussische Jahrbücher. W dole, znów wywlekając na chybi trafi cmentarzysko dzienników: Ermländische Zeitung, Königsberger Hartungsche Zeitung, Danziger Neueste Nachrichten, że wymienię tylko te, które są kopalnią wiadomości dla naukowca i publicysty, badającego niemiecką i polską przeszłość Wschodniego Pomorza. Niedawno wywleczone roczniki (nie zdołały nawet zbutwieć) Osservatore Romano, Berliner Morgenpost i in. wskazują na szerzej, niż na regionalną skalę, rozbudowany dział dzienników. Wreszcie z rozlicznych mniejszych optycznie obiektów: tablice paleograficzne bez tekstu i karty tytułowej, broszura o Świętej Lipce, kilka tomów korespondencji dyplomatycznej z czasów wojny 1870-71, Studia literackie Nehringa (Poznań 1884), poszczególne tomy leksykonu Herdera, słownik czesko-niemiecki — w końcu najkapitalniejszy łup: przegniły, z wielkim nakładem trudu i pracy roztworzony starodruk, Francisci Vieta Opera mathematica... opere atque studio Francisci Schooten Leydensis, Lugduni Batavorum 1646.

To tylko minimalny fragment napotkanych druków. Trzy godziny gorączkowej bieganiny po cmentarzysku Hosianum dostarczają wiele liczniejszych koszmarnych dowodów czyjegoś zaniedbania i karygodnej beztroski. Krążąc tu, przez długi czas normalny człowiek, ogłuszony ogromem i absurdalnością zniszczenia tylu dóbr duchowych i materialnych, nie może ani myśleć, ani reagować normalnie. Koszmar podnoszą jeszcze ludzie, którzy zaglądają zwabieni rzadkim widokiem błędnego poszukiwacza. Przychodzą pogwarzyć i pośmiać się nieco z niewczesnych zainteresowań.

— Co to, panie, teraz pan tu czegoś szuka. Rok temu trzeba było pochodzić. Leżały tu takie księgi (gest) . . . Cośmy tu tego wypalili przez zimę . . .

Podobno nie ze wszystkim było tak, jak mówią przechodnie. Były jednostki, jak osobnik, który mi opowiadał, że wyłowił stąd i zachował kilkanaście tomów polskich starodruków, by oddać je w bliżej nie określonej przyszłości, nie istniejącej jeszcze bibliotece w Braniewie. Były też instytucje. Jeszcze w ubiegłym roku ratowała najcenniejsze pozycje Kuria Biskupia z Olsztyna, interesował się czynnie Inspektorat Szkolny z Braniewa, ale czymże były te wysiłki wobec ogromu pracy, jaką należało włożyć (nie przesądzając terminu) rok temu, aby uratować w względnej całości jeden z najkapitalniejszych księgozbiorów na Ziemiach Odzyskanych. Niestety, czegoś brakło w przeszłości, a obecnie, jak się zdaje, wszystko jest w najlepszym porządku „zabezpieczone“, skoro Hosianum nadal nikogo ni ziębi, ni grzeje.

Fot. St. Sulima

Braniewo, Hosianum. Fragment „śmietnika“.

Wszelkie komentarze do tego stanu rzeczy uważam za najzupełniej zbyteczne, nie wstrzymam się tylko od pewnego wyznania. Od czasu odwiedzin tego, co było kiedyś Hosianum, nie mogłem się pogodzić z inflacją makulatury propagandowej pokrywającej gęsto płoty i zwaliska Pomorza Mazowieckiego. Dziesiątki bzdurnych świstków, klarujących, że słońce jest jasne, ziemia czarna, chleb z ziarna, a woda mokra, dziesiątki elukubracji, w których znajdują upust grafomańskie skłonności

(Dokończenie na str. 3)

Co robią Niemcy

Piewca nienawiści rehabilituje się — Za 20 lat nie będzie hitlerowców — Mała wycieczka do Austrii i co tam widziałem — Warto przeczytać „Germanien“

ERICH Edwin Dwinger stanie w najbliższych dniach przed trybunałem denazyfikacyjnym w Füssen Allgäu. Taką wiadomość przyniosły dzienniki niemieckie z końca sierpnia. Któż to jest Dwinger? Należał on do organizatorów i czołowych przedstawicieli grupy pisarzy hitlerowskich, oddawał publicznie hołd Hitlerowi, judził przeciwko narodom słowiańskim, szkalował zwłaszcza Rosję i Polskę. Syn Rosjanki i Niemca holsztyńskiego, jako 18-letni chorąży wpada na froncie wschodnim w pierwszej wojnie światowej w niewolę rosyjską. Pobyt w niewoli dostarczył mu wielu tematów do jego książek, z których znane są, m. in. także z licznych przekładów na języki obce, „Armia za drutem kolczastym“ lub „Między białem i czerwonem“. W czasie minionej wojny Dwinger był najgorliwszym propagatorem antypolskiej legendy o „krwawej niedzieli bydgoskiej“. Dwinger napisał nawet na ten temat osobną książkę, w której występuje z fantastyczną cyfrą kilkuset tysięcy Niemców pomordowanych rzekomo przez Polaków we wrześniu 1939. Fragmenty książki tej przedrukowywano w podręcznikach szkolnych, w rozmaitych hausbuchach, szerząc nienawiść do Polaków, podsycając żądzę „odwetu“. Teraz Dwinger jak wielu innych podobnych mu bohaterów hitlerowskich w życiu literackim zamiast stanąć na ławie oskarżonych i czekać na ostry wyrok, poddaje się procesowi denazyfikacyjnemu, który — jeśli znamy mechanizm tego rodzaju procesów w zachodnich strefach Niemiec — może mu przynieść choćby częściową tylko rehabilitację.

SPRAWA Dwingera przypomina nam chaos, jaki w dziedzinie denazyfikacji panuje w Niemczech. Niezamierzona była komediowość, która jest cechą denazyfikacji. Spodziewano się po niej wiele i uważano ją słusznie za celowe i jedyne rozwiązanie problemu shitleryzowania narodu niemieckiego. Rzeczywistość od razu jednak zniszczyła wszelkie złudzenia. Dziś podnoszą się już głosy niemieckie — co prawda na razie częściej w strefie sowieckiej („Berliner Zeitung“ z dnia 19 sierpnia br.), rzadziej w strefach zachodnich — stwierdzające, że Niemcy własnymi siłami nie mogą zniszczyć u siebie nazizmu. W każdym razie dwa lata doświadczeń wykazały jasno, iż prowadzenie walki tej za pomocą różnych administracyjnych pociągnięć jak kwestionariusze i trybunały denazyfikacyjne, ustawy i rozporządzenia, nie doprowadzi do niczego. Do niepowodzenia całej tej akcji przyczyniło się jeszcze to, że ustawy, rozkazy, dyrektywy, instrukcje władz okupacyjnych bardzo się różnią w treści i formie, że czynniki okupacyjne nie uzgodniły postępowania denazyfikacyjnego, ba — nie uzgodniły nawet jednolitego pojęcia nazizmu i jego przejawów w życiu niemieckim i w postępowaniu poszczególnych Niemców, co było przecież konieczne przy ustalaniu winy i określeniu kary. W strefie amerykańskiej nadto akcja ta na skutek licznych przeszkód, stawianych przez samych Niemców a opóźniających oczyszczanie życia niemieckiego z licznych elementów nazistowskich, potrwać może według obliczeń optymistów jeszcze 4 lata, zaś według obliczeń pesymistów nie mniej niż lat 20. W międzyczasie aparat urzędniczy uległ skorumpowaniu. Powstało wiele możliwości utonięcia naprawdę winnych w masie „demokratycznej“. Z drugiej zaś strony tzw. nominalni członkowie partii hitlerowskiej niepewni są dalszego swego losu; często zresztą cała walka zwraca się przeciwko nim, jako że z prawdziwymi szyszkami partii wojować jest trudniej, gdyż znajdują się oni przeważnie pod opieką kapitalistów anglo-amerykańskich a także i, choć rzadziej, francuskich.

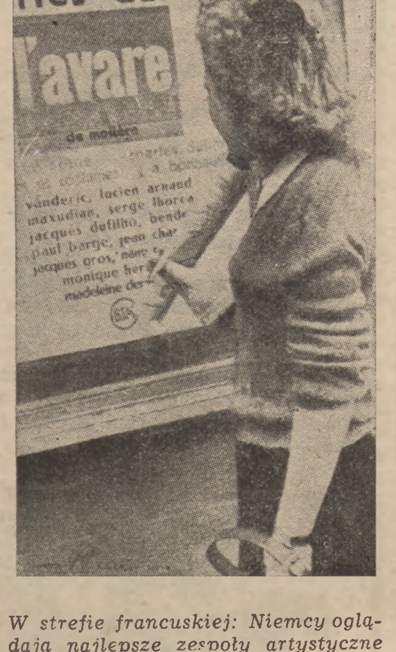

W strefie francuskiej: Niemcy oglądają najlepsze zespoły artystyczne Paryża

WŁADZE okupacyjne sowieckie dla strefy wschodniej wydały w. ostatnich dniach rozporządzenie, które ma wprowadzić jasność i porządek w postępowanie denazyfikacyjne na tym terenie. Cechą polityki denazyfikacyjnej w strefie sowieckiej jest pobłażliwość i wyrozumiałość w stosunku do „nominalnych“ a surowość w stosunku do aktywnych. Radykalnie przeprowadzona reforma rolna we wschodnich Niemczech pozwoliła na odsunięcie od wpływów w życiu publicznym tych wszystkich wysokich figur, których zasługą jest większe lub mniejsze nasilenie hitleryzmu na terenach zachodnich Niemiec. Wojskowe władze radzieckie wyszły z tych samych założeń, z jakich np. na Śląsku przystąpiono do rozwiązania problemu volkslist. Tutaj numeracja volkslist pozwoliła na dokonanie podziału na aktywistów i „nominalnych“. I tutaj „nominalnym“ przywrócono pełne prawa. Porównanie merytorycznie oczywiście niezupełnie jest słuszne, na Śląsku bowiem chodziło przy całej tej sprawie o wielką mistyfikację narodową, podczas gdy w Niemczech przemiana była natury politycznej, w rzadkich tylko wypadkach mogła pretendować do nazwy obronnej w tym wypadku mistyfikacji. Niemniej postępowanie władz radzieckich jako wynik dwuletnich doświadczeń i obserwacyj akcji denazyfikacyjnej na terenie całych Niemiec jest dowodem zdecydowanej woli zakończenia tego procesu, największego i najtrudniejszego w dziejach odnowienia Niemiec.

RÓWNIE skomplikowana jak w zachodnich Niemczech jest sprawa denazyfikacji na terenie Austrii. Ponieważ Austrię uznano za państwo napadnięte przez Niemcy, wstydliwie mówi się tylko o trudnościach, jakie młode to państwo ma z tytułu nieuporządkowanej sytuacji denazyfikacyjnej. W życiu literackim amnestionowanie odbywa się nagminnie, że wymienię tylko fakty dalszej działalności literackiej takich współpracowników hitleryzmu jak Mirko Jelusich czy Max Mell. Życie kulturalne Austrii budowane jest wspólnymi siłami zwolenników hitleryzmu i antyfaszystów a czytelnik 603 periodyków ukazujących się na terenie Austrii łatwo nabiera przekonania do ich czystości ideowej, gdyż wczorajsi hitlerowcy na polu pracy kulturalnej, przestawili się radykalnie.

Z pism wymienić trzeba przede wszystkim miesięcznik „Der Turm“, znajdujący się na lewym skrzydle, „Der Plan“, będący w pewnym sensie kontynuacją słynnej „Fackel“, i na prawym skrzydle katolicką „Die Furche“. W Salzburgu ukazuje się wyłącznie literacki „Silberboot“, bardzo często referujący wydarzenia kulturalno-literackie na terenie Niemiec a w Innsbrucku po 12-letniej przerwie „Der Brenner“. Literatura aktualna ogranicza się jak na razie do tematyki obozowej. Szczególnego rozkwitu doznała tu po wojnie liryka i bezprzecznie Austria posiada w tej chwili liczniejszych i lepszych poetów liryków niż Niemcy. Z nowych książek warto wymienić „Das himmlische Leben“ Hansa Weigela, który niedawno wrócił ze Szwajcarii, książka napisana pod silnym wpływem Kafki; Aleksandra Lernat-Helenii tom wierszy „Die Titanen“ (ten sam poeta jest autorem wydanego po wojnie w Berlinie poematu „Germanien“, najostrzejszej rozprawy z hitlerowsko-pruską Rzeszą i jej mitami); Paula Thun-Hohensteina „Wege des Lebens“, przekrój przez tradycje austriackie; autobiografię prezydenta republiki Karla Rennera, wspomnienia Eriki Brecht o von Hoffmannsthalu, Ernesta Fischera „1848“ i „Grillparzer“ (Fischer należy do najżywszych i najdojrzalszych przedstawicieli duchowego komunizmu). Ruch kulturalny Austrii znajduje uznanie także i w Niemczech i tylko, gdy w odpowiedzi na pretensje do odszkodowań niemieckich Niemcy pragną dokuczyć Austriakom, pojawiają się na łamach pism niemieckich nazwiska pisarzy i działaczy kulturalnych austriackich, którzy niedawno byli apostołami hitleryzmu a dziś podają się za antyfaszystów.

WISZ

Wiersze czeskie

JOSEF HORA

Wiersze ironiczne

Jakżeś ubogi a zadowolony
ty, któryś szczęście swoje niby obraz
na ścianie swego pokoju powiesił!
Jak z portu z domu wychodzisz ojczyzny,
a gdy powrócisz, zło, któreś napotkał,
ciśniesz pod drzwiami — bo pocóż się smucić
przy miłym cieple, którym tchnie kominek? — —
A dobro, które przypadek nastręczył,
jak kwiat, co życie twoje ma upiększyć,
na stole złożysz, aby tam uwiędło.

Niech hałas z zewnątrz nas nie niepokoi!
Ubodzy ci są, których wóz przejechał!
Bacz, byś zapomniał o wstrętnym widoku!
Chroń, bracie, duszę nieśmiertelną swoją
przed namiętnością, która miota światem,
przed tym sprzeciwem, co w ulicach straszy,
bacz, aby dusza miała sny spokojne,
abyś w cichości mógł jadać i kichać,
zdrowiem się cieszyć, pielęgnować w oknie
kwiat pelargonii, co czerwienią swoją
łopoce niby sztandar przed głową,
a oczy głaszcząc mózgu nie przeszyje
jak ogień gwiazd straszący zagadkami.
Pamiętaj zawsze na tę filozofię,
nie zbłądzisz nigdy do nikąd wędrując.
Cichy kraj, rejestr dni zbiegłych w spokoju,
rozkoszy zysk, co ciebie uszczęśliły
za to, żeś nie chciał mieć więcej niż mogłeś,
zwalą się raz na ciebie. W godzinie twej śmierci
jedynej nieprzyjemnej, która nadejść musi,
i pod misami, z których jadłeś syto,
i pod sklepieniem, gdzieś się grzał i trawił,
pochowasz, bracie, nieśmiertelną duszę,
która ci na nic nie była potrzebna.

VITIEZSLAV NEZVAL

Wieczorna pieśń

Masz oczy jak cykady śpiewają i dzwonią
niby te żabki w głębokiej trawie,
w głębokiej trawie na wiosennej łączce
pod jabłonią

Źródełko czyste nic cię nie zamąci
gdy dzwon wieczorny bić ustanie
twa pieśń mi nie da spać

Chciałbym cię wołać w ręce brać
lecz nie śmiem

Śpiewne oczęta po Aniele Pańskim
dajcie już spać
jasne oczęta cykadowe oczy
żabka do wody skoczy

A ja smutniejszy niż być człowiek może
zmówię różaniec tobie Panie Boże
każde ziarenko łza gorąca
łza odkupienia łza krwawiąca
za to że ta co mi najmilsza
za moje ciche zadumanie
od siebie mnie odtrąca

JINDRZICH SZTYRSKY

Cmentarz 1923

Anioł kamienny nie policzy
różowych pagórków gliny
Chwieją się czułe słowa
na pozłacanych napisach
Przeźroczyste uśmiechy
Wspomnienia
Wątłe poszepty konwalijne
Słowa znieruchomiałe w zapachu wietrzyka
Dzwoneczkowe oczy
Pocałunek wysysa martwych gnijących pierś

Z czeskiego spolszczył K. A. Jaworski

Praga - Budziszyn - Warszawa

ZACZĘŁO się od tego, że poto wówczas cały personel dyplomatyczny Poselstwa Polskiego w Pradze — poseł, radca i sekretarz — był byli nieobecni. Poza maszynistką i urzędnikiem kancelaryjnym byłem tylko ja — młodziutki attache prasowy, który stanowisko to objął świeżo po znanym literacie Pawle Hulka-Laskowskim. Do mnie więc woźny przyniósł bilet wizytowy. Przeczytałem na nim: Józef Bart, Budziszyn.

Gdy poprosiłem o wprowadzenie gościa, wszedł typowy chłop polski spod Poznania czy Torunia. Ubrany był „z niemiecka“, po miejsku. Ale zarówno sposób podawania spracowanej dłoni — szczery i ufny, a zarazem dający odczuć, że należy do człowieka, który zna swoją wartość, jak i śmiałe, jasne spojrzenie płowych oczu świadczyły o słowiańskim pochodzeniu. Nazwisko — dość pospolite w Czechach — upoważniało do wszczęcia rozmowy w języku czeskim. Z ust gościa natomiast popłynęły dźwięki dziwnie swojskie. Zaszumiało mi w uszach starą polszczyzną Reya i Kochanowskiego, czasami w jakimś wyrazie odczułem pakby reminiscencje z niedawnego pobytu na Kaszubach. Ze zdumieniem wsłuchiwałem się w te dźwięki. Było to moje pierwsze zetknięcie się z językiem najmniejszego narodu słowiańskiego — łużyckich Serbów.

Mój rozmówca był osobistością nielada. Orał we dnie zagon ojczysty, wieczorem zaś siadał na rower i udawał się do Budziszyna, by tu redagować dziennik „Serbskie Nowiny“. Świeżo opuścił mury więzienne, którymi częstowały go demokratyczne rzekomo Niemcy. W czasie, gdy świat cały upajał się zwycięstwem i budował optymistyczne plany przyszłej szczęśliwości, a miliony wygłodzonych i wynędzniałych mieszkańców naszego kontynentu entuzjazmowały się rzuconym przez Wilsona hasłem „stanowienia narodów o sobie“, zapomniano o Łużycach. Do uszu dławionego nadal narodu łużyckiego dochodziły odgłosy radości wyzwolonych narodów i budziły w nim błogie nadzieje. Bart na czele kilkuosobowej delegacji udał się do Paryża, by od wielkich tego świata zażądać sprawiedliwości dla swojej ojczyzny. Przed tym wydał płomienną odezwę, proklamując niepodległość połączonych Dolnych i Górnych Łużyc. W Paryżu wiele nie zdziałał. Spotkał się z wyrazami szczerej sympatii ze strony Czechów i Polaków, ale cóż znaczyły słowa i to wypowiedziane przez przedstawicieli narodów, które same musiały się bronić przed ignorancją, lub wręcz złą wolą „wielkich“ tego świata?

Wiedział Bart, co go czeka po powrocie. Nie został jednak na emigracji, lecz wrócił, by żyć wśród swoich i z nimi pracować. Został aresztowany już na granicy. Zainscenizowano proces o zdradę stanu. Bart musiał odsiedzieć swoją miłość ojczyzny.

Po wyjściu z więzienia działał dalej. Jego wizyta w Poselstwie miała właśnie na celu znalezienie u Polaków poparcia dla postulatów dzielnego narodu. W ówczesnych warunkach politycznych wyjazd Barta do Warszawy był nie do pomyślenia. Lecz i na to się ważył, gdyby się to okazało celowym.

Sporządzony przeze mnie raport w tej sprawie (jakże byłem z niego dumny!) spoczął w archiwach warszawskiego emeszetu. Bart, o ile wiem, odpowiedzi na swoją suplikę nigdy nie otrzymał. Sprawa Łużyc była wówczas zbyt obca społeczeństwu polskiemu. Mało też było ludzi, którzy na ten temat mieli coś rozsądnego do powiedzenia.

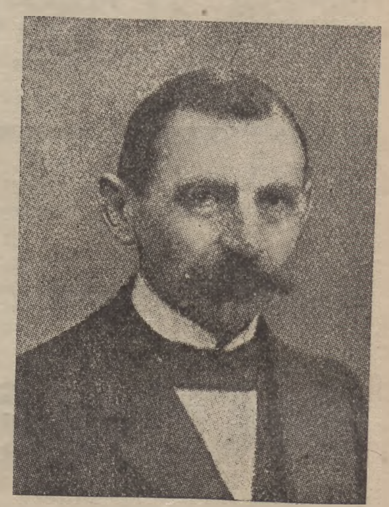

Arnoszt Bart.

Inaczej było w Czechach. Nie bądźmy jednak złośliwi i starajmy się przytoczyć okoliczności łagodzące. Polska w tym czasie upajała się wolnością, lizała się z ran, które, choć mniejsze niż dzisiejsze, wymagały skupienia całej energii narodowej, likwidowała szereg konfliktów sąsiedzkich, ustalała swoje własne granice. Zresztą sama idea wzajemności słowiańskiej, która i dziś jeszcze natrafia w pewnych kołach na dość znaczne opory, nie była w Polsce popularna.

Czechosłowacja natomiast wyszła z wojny bez większych uszczerbków, zaś idea słowianofilstwa stanowiła tradycyjną nić przewodnią czeskiej myśli politycznej już od lat kilkudziesięciu. Stała się ona sprawą narodową Czechów, dogmatem ich wiary politycznej. Jeżeli więc rusofilstwo, które jakże często wyrażało się w carofilstwo typu Kramarza, przemawiało do Czechów swoimi wartościami konkretnymi dla sprawy narodowej, to pielęgnowanie przyjaźni czesko-łużyckiej było ucieczką dla duchów idealistycznych, dla których żadna tyrania nie była do przyjęcia. Nie jest też przypadkiem, że zarówno w ruchu polonofilskim, jak i w akcji pomocy Łużyczanom spotykamy te same nazwiska. I dziś działa w Pradze towarzystwo czesko-łużyckie, nazwane imieniem wielkiego polonofila Adolfa Czernego (pseudonim poetycki Jan Rokyta).

Przed dwudziestu pięciu laty — bo taki szmat czasu upłynął od tej chwili — studiowało już w Pradze wielu akademików łużyckich. Jurij Wićaz, Jan Skala, Cyż — takie nazwiska utkwiły mi w pamięci, gdyż z nimi naj-

---

Przegląd prasy niemieckiej

BERLIN am Mittag

Berlin (str. sow.)

W strefie sowieckiej żądania w sprawie reformy rolnej, wyłożone na konferencji moskiewskiej, zostały sformułowane prawnie i wprowadzone w życie już po żniwach 1945. Wówczas rozparcelowano bez odszkodowania wszystkie grunta powyżej 100 ha. Według statystyki wydziedziczono wówczas 8.000 właścicieli ziemskich, których ziemia podzielona została między 325.000 nowych rolników.

Na początku roku 1947 marszałek Sokołowski zapowiedział wielką pomoc sowieckich władz wojskowych dla rolnictwa niemieckiego. W ślad za tą obietnicą poszło wzmożone tempo budowy maszyn rolniczych. Inicjatywa wojskowych władz sowieckich urzeczywistniła się dzięki pilności i aktywności robotnika niemieckiego.

*

Na posiedzeniu przekształconej Rady dla strefy brytyjskiej w Hamburgu generał Robertson referował brytyjski plan reformy rolnej, oświadczając, że według planu tego nikt nie może być już właścicielem więcej niż 150 ha ziemi lub obszaru mającego wyższą wartość pieniężną niż 200.000 RM. Uwzględniane przy tym będą rolnicze grunta użytkowe gruntu przeznaczonego do parcelacji, zabudowań, inwentarza przeprowadzona zostanie przez komisje krajowe, które składać się będą z fachowców a nie z polityków. Właścicieli, których pozbawi się ziemi, o przeznaczeniu odebranych gruntów mogą zadecydować sami. Rządy krajowe ustalą prócz szczegółów reformy rolnej również stawki odszkodowania.

Brytyjskie plany reformy rolnej spotkały się z gorącą krytyką, którą podjęła zwłaszcza SPD. Również i komunici odrzucają plan brytyjski, głównie z tego powodu, że są oni przeciwni jakimkolwiek odszkodowaniom dla właścicieli ziemskich. Natomiast CDU widzi w planach brytyjskich „podstawę do dalszej pracy“, która pozwoli na cenne wnioski na przyszłość. Przedstawiciele FDP zastanawiają się nad problemem, czy dla przeprowadzenia reformy rolnej potrzebne są jakieś powody natury politycznej, stwierdzają jednak, że świadomość polityczna i przekonania nie są z ziemi lecz z głowy. Wskutek tego przeciwstawiają się oni podawaniu minimalnej wielkości obszaru, podlegającego parcelacji. Ze strony Centrum wyraża się zadowolenie, że plany uszanują średnią i małą własność. Deutsche Partei, organizacja strefowa Niedersächsische Landespartei, posiadającej zwłaszcza w Dolnej Saksonii silny rezonans, przeciwstawiła się ustawie o reformie, ponieważ — jej zdaniem — ustawa ta przyniesie wiele niepotrzebnych, ostrych ingerencji w prywatną własność.

(„Bodenreform in Ost und West“)

Telegraf

Berlin (str. oryt.)

Cyfry nakładów dzienników wychodzących na terenie Berlina:

Sektor Sowiecki:	31 grudnia 1946	31 maja 1947
Neues Deutschland	500,000	500,000
Taegliche Rundschau	900,000	900,000
Berliner Zeitung	400,000	400,000
Tribuene	200,000	100,000
Neue Zeit	250,000	250,000
Der Morgen	250.000	250,000
Berlin am Mittag	100,000	170,000
Vorwaerts	140.000	280.000
Nacht Express	250,000	250,000
9 dzienników ogółem	2,990,000	3,100,000
Sektor brytyjski:		
Telegraf	450,000.	475,000
Spandauer Volksblatt	50,000	50,000
Der Sozialdemokrat	80,000	100,000
3 dzienniki ogółem	580,000	625,000
Sektor amerykański:		
Der Tagesspiegel	315,000	315,000
Der Abend	60,000	60.000
2 dzienniki ogółem	375,000	375,000
Sektor francuski:		
Der Kurier	280,000	250,000
1 dziennik ogółem	280,000	250,000

Tydzień Wrocławia

31. 8. — 7. 9.

Teatry i widowiska

1, 2, 3, 4, IX. Państwowy Teatr Dolnośląski.
Gościnne występy M. Gorczyńskiej i W. Surzyńskiego w montażu St. Milskiego „Miłość wśród wieków“,
5, 5. IX. W sali Państw. Teatru Dolnośląskiego.
Występy żydowskich artystów: Dżegana, Szumachera i Rajskiej.
7. IX. Państw. Teatry Dolnośląskie.
Komedia Verneuilla „Musisz być moją“ z Martynowską i Zdanowiczem.
6, 7. IX. Teatr Popularny.
Gościnne występy Wł. Surzyckiego — wieczór recytacji „Od Cyda do Żołnierza Polskiego“.

Życie Literackie

4. IX. 68-my Czwartek Literacki — Koła Miłośników Języka i Literatury Polskiej — Wieczór Autorski Bronisława Kamińskiego.

Różne

1. IX. Otwarcie Muzeum Wojska Polskiego w Gmachu Ratusza.
1. IX. Otwarcie nowopowstałej szkoły tańca Artystycznego Patkowskiego i Matuszewskiego.
1. IX. Otwarcie Czytelni „Ossolineum“. Katalog Książek udostępnionych publiczności. Lokal czytelni obliczony jest tymczasem na 46 miejsc.
5. IX. Rozpoczęto prace nad zmontowaniem radiostacji Wrocław-Żórawin o mocy 50 KW.

Na mapie

JULIAN LEWAŃSKI

…Ja sobie pójdę na morze płowe,
węgorzem skryję się wśród skał.
O Magali, chcesz mi się skryć
Błękitną rybką?…
W więcierza nić
Złowię cię szybko.

(O Magali, ma tant amado — z pieśni III eposu „Mireio“ F. Mistrala).

…Jo się łurobim małą rybiczką
Będę pływała bystrą wodziczką
A jo twoją nie bedym
Wóle twoji nie spełniym
A jo nojdym takowe sieci
Co mi tę małą rybiczkę chyci
A ty moją musisz być
Wolę moją wypełnić.

(Ze śląskiej piosenki ludowej).

„Na Śląsku*) natomiast utożsamiano regionalizm z separatyzmem“ pisał w roku 1935 Paweł Musioł — potrącając szeroko rozbudowany problem moralnych rachunków między Śląskiem, a Macierzą.

Już Damrot pytał dlaczego „nas starsi nie bronili“; kryje się za tym pytaniem poczucie krzywdy, pretensje szczepu porzuconego Niemcom na pożarcie przed paruset laty, szczepu zapomnianego i walczącego. Za pytaniem Damrota kryje się cała do dziś żywa problematyka rachunku — wyrzeczenia awansu materialnego dla utrzymania narodowości, rachunku — z trudem i dobrą wolą układanego współżycia z góralami-galicjakami i najnowszego rachunku o krzywdę opolską. Dlatego terminy pozornie niewinne, takie jak regionalizm, prowincja, seperatyzm — mają tu na Śląsku do dziś wagę moralną, urażają lub radują.

REGIONALIZMY

Wzmaganie się sił kulturalnych peryferycznych, potęgowanie ruchów kultur ludowych — przypada w całej niemal Europie na połowę ubiegłego stulecia. Synchronizacja ta obowiązuje również i Śląsk — może wymienimy Wiec Bytomski, „Dziennik Górnośląski“, początki biblioteki Stalmacha, obok daty 1848, kiedy Ivar Aasen wydaje „Gramatykę ludową języka norweskiego“. obok daty druku (1859) „Miréio“ Fryderyka Mistrala.

Jeśli założymy sobie obraz kultury jakiegoś narodu jako federację prowincjonalnych i klasowych systemów kulturalnych — wtedy jasne będzie pojęcie regionu, jasne tendencje regionalistów.

Kongres stowarzyszeń regionalistycznych, francuskich zgromadził w roku 1923 w Reims aż 40 organizacji. Takie zjawisko mówi nam o różnicach, zupełnie gruntownych, jakie zachodzą między strukturą naszej, a francuskiej kultury. Trudno postawić znak równania między zwrotem inwokacji „Litwo! Ojczyzna moja! a dumnym stwierdzeniem Mistrala:

France, avec toi conduis ta soeur
Provence
Tu est la fort, elle est la belle,
Vous verrez la nuit rebelle fuir
Devant la splendeur de vos fronts
réunis.

Jeszcze inaczej układały się sprawy dziejów literatury narodowej w Rumunii. Początek dał poeta Michał Eminescu, poparła go szkoła ludowa — „poporanismul“; narzucali przekonanie, że życie chłopa da temat, formę, nada specjalny ton literaturze rumuńskiej. Tendencje te (służył im organ ugrupowania „Viatsa Romaneasca), podparte uczonością i autorytetem Michała Iorgi — zdecydowały ostatecznie o swojskim charakterze kultury rumuńskiej.

Zrzeszenie „Les felibres“ apelowało do decentralistów, regionalistów, federalistów. Oto mamy definicję ruchów regionalistycznych! **Zburzyć trzeba mit wyłączności i wystarczalności stolicy,** następnie świadomie budować wartości swojego regionu (poznać go, uszanować dorobek, utrzymać tradycje, zaktywizować), wreszcie ułożyć warunki sfederowania regionów ze stolicą. Nie ma w tym pojęciu miejsca na jakkolwiek pojęty separatyzm

Istnieją przecież dalekie formy regionalizmów. Oto na przykład okólnik naszego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nr 209 z dnia 30. 11. 1927 roku poleca wojewodom przeprowadzenie prac, które mogłyby w konsekwencji stworzyć żywe ośrodki regionalne w każdym województwie. Na Śląsku można wyliczyć szereg pisarzy, którzy świadomie i z trudem „regionalizowali“ swoją twórczość, szukając tematów i motywów w ich pojęciu regionalnych. Kalectwa takich poczynań widzimy w fakcie, że regionalizm zaczyna się od sił i wartości faktycznie żywych, a nie od haseł i tendencji.

Literatura śląska od w. XIX zwraca się do ludu śląskiego; to rzecz niewątpliwa. Ale ten zwrot podyktowany szczególnymi warunkami rozwojowymi tej dzielnicy, różni się znakomicie od ruchów tego samego miana na innych obszarach Polski. Ludowość jest tu czymś, co stoi na pograniczu regionalności i odrębności niemal narodowej… Z tych względów racjonalniejsza byłaby dla literatury śląskiej nazwa regionalnej niż ludowej.

Taką propozycję stawia Wincenty Ogrodziński w podstawowej i cennej rozprawie „Stan i potrzeby nauki polskiej w zakresie piśmiennictwa śląskiego“.

Rzeczywiście — Śląsk żył w zupełnie wyjątkowym klimacie kulturalnym. Mamy tu na myśli wiek XIX przede wszystkim. Nauka i sztuka niemiecka rzucały wielki cień na te ziemie. Kładł się on wielorakim kształtem na powstających miastach i osadach fabrycznych, na starych miasteczkach, na szkole wiejskiej. Niemcy wypracowali plany germanizacji, terroryzowali pieniędzmi, wymuszali ustawą. Najważniejsze zaś — wprowadzali książkę niemiecką, obraz, muzykę, obyczaj; jako bogatsi żyli wcale intensywnie formami kulturalnymi rzędu bibliotek, opery, teatru. Jawili się obserwacji Ślązaka jako pożądany wzór życiowy — wystarczyło tylko przejść przez niemiecką szkołę, a osiągało się „pańskość“. —Dodajmy, że również i czynniki ekonomiczne warunkowały sferę kulturalną, a ta narodowościową: im mniejsze gospodarstwa (na Opolszczyźnie) i większa nędza, tym więcej polskości. — Treści kultury niemieckiej przepływały obok Ślązaka szerokim strumieniem, ale odczytane nawet i poznane nie stawały się jego własnością, ani on sam nie stawał się ich przekaźnikiem.

Posiadał mianowicie swój świat wartości, obyczaju, przyzwyczajeń, przekonań — znanych mianowicie ludziom, mówiącym dokładnie tym samym co on językiem, wyznającym taką samą wiarę.

Jednocześnie zaś przez granicę rosyjską, jakże bliską gęsto zaludnionemu centrum przemysłowemu, trafia ciągle na Śląsk świadomość istnienia jakiejś bliskiej, a wielkiej kultury, wielkich, a szlachetnych spraw, wiekowych tradycji; z pobliskiego Poznańskiego z własnych gazet dociera do świadomości Śląska przeświadczenie o łączności z Polską. Powoli więc stają się obiegowymi tutaj przekonania, dzieła literackie, autorytety — takie jak w Polsce. Trudno ustalić rysunek tej figury: ludowa, stara kultura śląska, kultura niemiecka, kultura polska, bo i materiałów do obrazu wieku XVII i XVIII brak, i od początku wieku XIX mamy przecież do czynienia z procesami a nie stałą sytuacją.

Jedno jest oczywiste: w tym układzie trzech kręgów kulturalnych, mianowicie niemieckim, polskim, własnym kręgu kultury przekazu nieutrwalonego, ustnego — cofał się i kurczył stale ten ostatni; ulegał modyfikacjom, wreszcie zamilkł. Może zresztą pozornie i czasowo.

Akcja na tym polu walki kulturalnej zaczęła się — dobrze jest operować wyraźnymi datami — w roku 1821, drukiem „Krótkie wyobrażenie historyi Szląska“ Józefa Lompy, o którym wiemy, że rozeszło się w ilości 3.000 egzemplarzy w ciągu roku.

Zdobycze niemieckie — były i nie należy pominąć ich milczeniem; nie zajmowano się jeszcze problemem pisarzy „śląsko-polskich“ używających języka niemieckiego, nie opracowano twórczości pisarzy polskich, którzy grzeszyli od czasu do czasu wierszami niemieckimi.

Sukcesy polskie — znamy. Posiadamy zresztą jedynie mglisty obraz — ogólnikowe stwierdzenie, że zwyciężyła na Śląsku myśl polityczna i kultura polska. Najłatwiej wskazać na powiększanie się polskiego stanu posiadania w literaturze — ale zazwyczaj cytuje się kilka nazwisk i kilka komunałów. Przyjdzie może czas, znajdą się ludzie, którzy wskażą w literaturze na zależności ideologiczne i stylistyczne, w dziennikarstwie na typologię publicystyki, w muzyce, repertuarach chórów na rytmikę i melodykę — jak dalece zależne są od wzorów polskich, jakie zachodzą między nimi relacje, jaka więc była struktura kultury na Śląsku. (Dotąd wiadomo nam jest o jednej monografii — jest to praca Stoińskiego o śląskich tańcach, a pozostaje w rękopisie!)

Trudno podtrzymać propozycję Ogrodzińskiego, aby nazwać literaturę śląską — literaturą regionalną.

Przede wszystkim brak jej było tego poczucia własnej wartości, siły i pewności siebie, która by pozwalała wyznaczyć literaturze Śląska poważne miejsce w ogólnopolskim dorobku literackim. Nie należy mylić tematyki regionalnej z literaturą!

Trzeba przeciwstawić potoczne określenie: pisarz regionalny to ten, który wprowadza do fabuły, obrazów, metaforyki elementy najbliższego krajobrazu — pełnemu określeniu literatury regionalnej. Nie należy się kusić o definicje — wystarczy stwierdzić, że zjawisko musi być ujęte w kategorie poznawcze literackie, a nie socjologiczne, historyczno-kulturalne, czy też — co się naj-

Drukujemy poniżej wspomnienie spotkań z Łużycami. Niewielu Polaków odwiedzało Łużyczan w ich kraju. Wędrówki Parczewskiego są jedyne w swoim rodzaju. Toteż cenne są dla nas wspomnienia wszelkich choćby najdrobniejszych odwiedzin; one utrwalały przyjaźń łużycko-polską w małym narodzie, który stał się naszym sąsiadem.

częstszy miałem kontakt. Powoli wciągałem się w nową dla mnie problematykę. Pamiętam koncert chóru łużyckiego. Olbrzymia sala (Smetanova siń) wypełniona po brzegi. Na podium kilkadziesiąt postaci w barwnych strojach ludowych, piękne barwne olbrzymie krochmalone chusty, misternie ułożone na głowach w sposób przypominający ubiór głów naszych szarytek. I pieśni. Dyryguje Bjarnat Krawc, nestor muzyków łużyckich, kompozytor i zbieracz pieśni ludowych. Entuzjazm sali niesłychany, owacje nie mają końca. To Praga daje wyraz swojej sympatii dla ujarzmionych pobratymców. Z loży przygląda się temu już wówczas sędziwy Adolf Czerny. Obok siedzi Ludwik Kuba — pisarz, malarz, muzyk w jednej osobie, który pieszo przewędrował całe Łużyce, zebrał i zapisał kilkaset pieśni, przywiózł paręset obrazów, strojów i budowli łużyckich i wydał grubą, pięknie ilustrowaną książkę.

Bjarnat Krawc.

Biorę wtedy od przyjaciela Jurija Wićaza (który tak się od praskich Polaków nauczył po polsku, że podczas jego pierwszej wizyty w Warszawie musieliśmy wspólnymi siłami przekonywać Stefana Krzywoszewskiego, że nie jest Polakiem i pierwszy raz polskim oddycha powietrzem), biorę od niego list polecający do kierownika szkoły we wsi Radwor pod Budziszynem i jadę.

Pierwszy kontakt mam już w Dreźnie, gdzie odwiedzam Krawca. Na drzwiach mieszkania zresztą wisi kartka — Bernhardt Schneider, ale nie trudno domyśleć się, że Bernhardt to Bjarnat, no a Schneider to oczywiście Krawc. Trudno, demokratyczne Niemcy nie znosiły w Dreźnie słowiańskiego brzmienia nazwiska!

Pobyt na Łużycach minął jak jakiś sen miły, pełen wrażeń tak głębokich, że dziś je jeszcze przeżywam, choć to już ćwierć wieku minęło. Całe życie kulturalne walczącego o prawo do bytu narodu skupiało się w Serbskim Domu. Tu był hotel, restauracja i kawiarnia, redakcja dziennika i paru periodyków, księgarnia, związki i stowarzyszenia. Nie potrzebowałem się przedstwiać. Słowo „Polak" otwierało wszystkie drzwi i serca. Stary, siwy jak gołąb kapłan (nazwisko zatarło mi się, niestety, w pamięci), ujął mnie czule za rękę i długo, długo wpatrywał się w twarz.

— Polak, Polak — powtarzał w zamyśleniu. — Boże, ile ja lat nie mówiłem po polsku! Przecież od czasu, jak był u nas rektor Parczewski z Wilna, nikt z Polaków do nas nie zaglądał.

Mówił powoli, z trudem wybierając z lamusa pamięci zawieruszone tam od dawna słowa. Ale mówił czysto, dobrym akcentem. Oprowadzał mnie po kościele, pokazywał, co było godnym uwagi. Starał się przedłużyć obcowanie ze mną, by się dźwiękami języka polskiego nasycić.

Piękna, murowana szkoła. Kierownik w klasie. Stukam do drzwi i wchodzę. Kilkadziesiąt drobnych postaci o błękitnych słowiańskich oczach i białych jak len włosach zrywa się z ławek. Pan Nawka przerywa lekcję. Gość z Polski — niechże i dzieci mają święto!

Pan Nawka prowadzi mnie na górę: tam mieszka. Przedstawia żonie. Rozmowa toczy się po polsku. Po dotychczasowych doświadczeniach chciałoby się powiedzieć — oczywiście po polsku. Interesuje mnie, kiedy ostatni raz był w Polsce. Robi zdziwioną minę.

— Jakto ostatni raz? Nie byłem nigdy.

Polskiego nauczył się sam. Inni uczyli się francuskiego lub angielskiego, on uczył się polskiego. — Boć to nasi najbliżsi bracia — wyjaśnia.

I tu pada pytanie, które mnie zaskoczyło: czy wyszedł z druku kolejny tom monografii Kleinera o Słowackim? Przyszło mi na myśl, że nie wiem, czy wszyscy polscy koledzy pana Nawki wiedzą, że wyszedł tom pierwszy. Na pożegnanie prośba: od lat poszukuje „Dziejów języka polskiego" Brücknera. Czybym nie poszukał gdzieś w antykwariatach?

Opuszczałem Łużyce z walizką pełną pism i książek. Wszystko, niestety, strawił ogień popowstaniowy. Jedyne, co mi zostało, to wspomnienie. Tego mi nie zdołał wyrwać barbarzyński okupant.

Minęły dwa dzicsiątki lat z górą i żołnierz polski, w pogoni za Niemcami przekroczył Nysę. I usłyszał mowę słowiańską. Lecz już wrogie siły czyhają, by naród ponownie ujarzmić.

To, że z wielowiekowej niewoli wydostała się garstka 500, 200 czy nawet tylko 100 tysięcy Łużyczan (nie będziemy się tu spierali o cyfrę), która przetrwała nawet Hitlera i jego metody eksterminacyjne, to jest fakt polityczny, z którym trzeba się liczyć. Dziś Polska zbliżyła się do nich o miedzę.

Władysław Mergel.

Śmietnik

(Dokończenie ze str. 1)

różnego rodzaju referentów „kulturalno-oświatowych" najrozmaitszych instytucji, paliło mnie wyrzutem sumienia w zestawieniu z stertami zabytkowego gnoju na ruinie Hosianum. Tam brakło „oświatowych" i „kulturalnych" funduszy i „kulturalno-oświatowych" rąk do pracy.

Wspomniałem na wstępie listu, że pozbywam się cennego tematu do obszerniejszej jeremiady. Sprawa Hosianum nie jest wcale odosobniona. Mniejszych śmietników zwiedziłem kilka, żałując, że ten pomysł przyszedł mi zbyt późno do głowy. Każdy choćby tylko częściowo zdewastowany dom, szereg piwnic po inteligentach niemieckich do dziś po 2 i ½ roku naszej bytności na polskiej północy, kryje jeszcze ułomki godnych uwagi pozycji. Dla przykładu: w Fromborku w opuszczonym budynku poraził mnie widok zbutwiałego słownika **Mrongowiusza**. Nie inaczej jest z ruinami dawnych budynków państwowych. W Niborku na zamku w zgliszczach spalonych papierów sądowych znalazłem fragment protokołu z „pyskówki", nie mniej charakterystycznej dla polskości tej ziemi i jej ludności, niż przedwojenne legitymacje Związku Polaków. Mam prawo sądzić, że nie był to unikat...

Mógłbym się szeroko rozpisać na temat śmietników, niekiedy szacownych. Jeśli jednak kładę nacisk na możliwą zwięzłość tego listu i pośpiech w jego wysłaniu, to tylko dlatego, że chciałbym przy cennym pośrednictwie Pańskim, zwrócić uwagę społeczeństwa i miarodajnych czynników na horenda, które w dwa z okładem lata po odzyskaniu niepodległości mają miejsce na Ziemiach Odzyskanych.

Zaistniała paradoksalna sytuacja. W kraju biada się głośno na brak książki, zwłaszcza pomocy naukowych. Naukowcy i publicyści kręcą niemal dosłownie karki w poszukiwaniu interesujących ich pozycji niemcoznawczych, na szereg pomocy naukowych czekają studenci uniwersytetów, rozdzieracze szat zachłystują się zawrotnymi statystykami zniszczonego dorobku kulturalnego, jako najwyższymi w świecie rekordami — a tymczasem znaczna część gotowych wartości czeka na podniesienie z gnoju, w który powoli się zmienia. Może wiele z nich nie zasługuje na uwagę, ale ileż — z choćby tu wymienionych — jutro lub pojutrze pochłonie cenne i na inne cele potrzebne dewizy? Nie okłamujmy się, że na śmietnikach Ziem Odzyskanych rozbraja się arsenał wrogiej propagandy. W Braniewie idzie w ziemię i powietrze różnojęzyczna literatura. Nawet te gadzinówki wschodnio-pruskie, które ktoś z pogardą rozrzucił po gruzach, są białymi krukami w polskich bibliotekach i to w najmniejszych nawet fragmentach. Na śmietniku w Fromborku „rozbroił się" dorobek jednego z największych budzicieli polskości na Mazurach — gdzieś pewnie czezną komplety „Gazety Olsztyńskiej" czy „Mazura", których nie ma żadna z krajowych bibliotek.

Jeszcze jedno na zakończenie. Dobrą kulturalne Ziem Odzyskanych, jak ongi miejsce urodzenia Homera, są przedmiotem sporu kompetencyjnego różnych placówek kulturalno-oświatowych. Przez długi czas powiatowe wydziały kultury i sztuki (z 1.500 zł miesięcznego budżetu), inspektoraty szkolne, ba niektóre instytucje z głębi kraju, które wspomnę bezimiennie, aspirowały do roli monopolistów w przywileju „zabezpieczania". Dziś wiele się zmieniło, choć nie we wszystkim, ale efekt jest taki, że wielu jednostkom najlepszej woli zamąciło się w głowie.

— Niech mi pan poda instytucję — zaatakował mnie z furią inteligent na Warmii rozjuszony zarzutem, że warstwa inteligencka zbyt mało pomaga w ratowaniu niszczejącego majątku kulturalnego na Pomorzu Mazowieckim — do której mógłbym się zgłosić po mandat do zabezpieczania tych dóbr, które uchodzą uwagi oficjalnych placówek? Do kogo się mam zwr:cić po środki na to zabezpieczenie? Kto mi pomoże przełamać ślepe uprzedzenie społeczeństwa napływowego do niemieckiej książki i niemieckiego zabytku?

Bo ja mam plan!

Niech by się ktoś znalazł, kto by mi dał dwa, trzy metry cukru. Wyliczyłbym się do dekagrama setkami książek i to nie tylko niemieckich. Ręczę, że zebrałbym sam kilka tysięcy tomów, co więcej utorowałbym drogę do celowego zabezpieczenia jeszcze większej ilości dla bibliotek i kultury polskiej."

I ten pomysł zostawiam bez komentarzy, jak i pytania, na które osobiście nie umiałem dać odpowiedzi. Dobrze by było, gdyby ktoś zaryzykował sprawdzenie go w praktyce.

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy mego prawdziwego szacunku.

Stefan Sulima.

Książka Ziem Odzyskanych

O prawdziwą historię Opola

Dr Władysław Jan Grabski: „200 miast wraca do Polski". Wydawnictwo Zachodnie. Poznań, 1947.

Prof. Stanisław Makosz: „Dzieje miasta Opola" (Okres Średniowieczny), oraz krótki opis zabytków historycznych.

Nakładem I. Państw. Gimnazjum i Liceum im. Kopernika w Opolu 1947.

Ukazały się ostatnio dwie prace, z którymi zapoznać się powinien każdy, kto interesuje się Opolszczyzną. Jedna z nich to książka Dra Władysława Jana Grabskiego: „200 miast wraca do Polski", w której od str. 238, do 242, podane jest krótkie streszczenie dziejów Opola — druga, to praca prof. Stanisława Makosza: „Dzieje miasta Opola".

Brakowało nam dotychczas bardzo tego rodzaju prac, z radością więc powitać musimy ukazanie się obu. Nie mniej jednak, są to prace pierwsze, pionierskie, pisane bez polskich opracowań źródeł, i oświetleń rozlicznych spraw, tak, że nie należy się dziwić usterkom, i co za tym idzie, komentarzom i objaśnieniom, koniecznym w takich wypadkach.

Prof. Makosz, (rodowity opolanin), pisze w przedmowie, że opierał się na dwóch pracach niemieckich: Fr. Idzikowskiego: „Geschichte der Stadt Oppeln",) z r. 1863), i „Die Bau- und Kunstdenkmäler Schlesiens — Stadt Oppeln", (r. 1939). Są to podstawy za szczupłe. Do dziejów Opola, posiadamy już wcale obfitą literaturę niemiecką, i dużo, wprawdzie rozproszonych, ale niejednokrotnie bardzo ciekawych i nowych wzmianek i notatek polskich. Krytyczne zebranie ich i opracowanie, powinno nam dać obraz pełniejszy i dokładniejszy, niż obie omawiane prace. Na razie ograniczamy się prawie wyłącznie do tąd i personalnych danych, prof. Makosz dają, trochę cyfr i materiału do dziejów rozwoju miasta, zrozumiałym jednak jest, że przede wszystkim musi się uporządkować chronologię i kronikarskie zestawienie zdarzeń.

Korzystając ze źródeł niemieckich, trzeba zawsze pamiętać, że niemiecka nauka wcale nie jest taką ścisłą, jak sama o sobie mówi. Nie wspominając już nic o bezstronności). Nie można więc, jak robi to prof. Makosz, przyjmować na wstępie tezy, że Słowianie (Niemcy starannie i konsekwentnie unikają słowa: Polacy), zamieszkiwali Śląsk dopiero w wieku VII. czy VIII. (str. 5). Ani że Opole zamieszkane było przez Polaków i Niemców, (str. 5 u dołu). Opole od prawieków zaludniali nie inni Słowianie, a właśnie Polacy, czego dowodzą m. in. opolskie, na wyspie, na pasiece.

O osadzie na pasiece, absolutnie nie można też pisać tak, jak itp. prof. Makosz (str .15), „jeżeli chodzi o osadę słowiańską, czy germańską..." i „to uważam, że była (ona) chyba tylko słowiańską w VII. czy VIII. wieku..." — Osada polska na pasiece, była wspaniale zorganizowana i planowo zabudowana, a przebieg jej dziejów da się śledzić od VII. wieku bez przerwy, aż do czasów historycznych, ustępując w IX-XII. w. zamkowi piastowskiemu, którego wieża stoi do dzisiaj na tym samym miejscu. Trudno o wspanialszy dowód ciągłości bytowania jednego i tego samego ludu, stale na tym samym miejscu.

Na str. 6, spotykamy tłumaczenie powstania nazwy „Opole". Ani nie pochodzi ona od „topola", ani żaden książę, wyjeżdżając z lasu, nie zawołał tu: „O, pole!". Słowo „opole" oznaczało niegdyś rodzaj związku terytorialnego, związku osad, podległych wspólnym prawom i obowiązkom. Jako takie opole wymienione jest u tak zw. „geografa bawarskiego", w r. ok. 900. jako stolica terytorium obejmującego 20 „civitates" (osad?, miejscowości?).

Na str. 9 pisze prof. Makosz, że Bolesław I. ks. opolski, miał dwu synów, między których podzielił księstwo: jeden otrzymał Niemodlin-Głogowek i Strzelce, — drugi Opole i Olesno. Otóż w rzeczywistości, Bolesław I. miał synów trzech: Bolesław dostał Niemodlin, drugi Bolesław (jako książe opolski — Bolko II) — Opole, a trzeci Albert, — Strzelce.

Co do podziału historii Opola, na okręgi dokonanego przez prof. Makosza, — uważam, że eliminować tu musimy rok 1327, jako zamknięcie działu historii Opolszczyzny. Hołd, złożony w tym roku przez Bolesława II. królowi czeskiemu, nie jest dla nas żadnym przełomowym wydarzeniem. Tak go na pewno traktował i sam Bolesław i jego następcy, aż po ostatnich piastowskich książąt opolskich, Mikołaja II. i Jana Dobrego. Większość z nich hołdów wcale nie składała, a przynajmniej targowała się o nie długo. Dla nas okresami historii Opola powinny być następujace lata:

I. do r. 1179.	Opole osobnym terytorium potem łączność ze Śląskiem.
II. 1179 — 1532.	Piastowie na Opolu.
III. 1532 — 1740.	Pośrednie wpływy Polski na Oplszczyźnie. Zajęcie Opolszczyzny przez Prusy.
IV. 1740 — 1821.	Panowanie pruskie na Opolszczyźnie. Wydanie pierwszej książki o historii Śląska w Opolu przez Lompę.
V. 1821 — 1945.	Walka ludowa o polskość Opolszczyzny
VI. Czasy dzisiejsze.	

Na ten temat warto jeszcze jednak obszerniej podyskutować.

Przechodząc teraz do książki dr. Grabskiego, „200 miast wraca do Polski", a raczej do omówienia tylko pięciu stron jej rozdziału o Opolu, rozpocznę od zwrócenia uwagi na błędne oznaczenie ilustracji na stronie 239. Podpis objaśnia, że jest to pieczęć księcia cieszyńskiego Władysława, zmarłego 1288. Napis jednak na pieczęci (znanej zresztą) wyraźnie pozwala stwierdzić, że jest to pieczęć księcia Władysława Opolskiego. Zmarł on w r. 1281.

Na tej samej stronie u góry pisze dr. Grabski, że Opole dostało się w r. 1162 młodszemu synowi Władysława I. Wygnańca, — Mieszkowi, razem z Raciborzem, Cieszynem, Włodzisławiem i Pszczyną. Otóż książę Mieszko, zwany Plątonogim, otrzymał wymienione miasta z wyjątkiem właśnie Opola, które dopiero w r. 1179, dostał syn Bolesława Wysokiego, Jarosław. Po jego śmierci w r. 1201 Opole wróciło do Bolesława Wysokiego i dopiero po tegoż zgonie przeszło w r. 1202 od jego syna Henryka Brodatego do Mieszka Plątonogiego. Umarł on w r. 1211 a nie w r. 1221, jak pisze dr. Grabski. Można by tę datę uważać za zwykłą pomyłkę druku, gdyby nie to, że powtarza ją autor kilkakrotnie.

Następca Mieszka I., książę Kazimierz, zmarł w r. 1228 lub 1230, a nie w r. 1236. Synowie jego Mieszko i Władysław nie otrzymali Raciborza i Opola, jedynie z powodu ich małoletności, do r. 1238 całym księstwem rządziła wdowa po Kazimierzu, Viola, (przy pomocy księcia Henryka Brodatego), a od r. 1238 książę Mieszko II. Brat jego Władysław miał wtedy lat 10 lub 12 i przebywał przy matce. Dopiero po śmierci Mieszka II. w r. 1246, objął całe dziedzictwo. Zmarł, jak już wspomniałem, 1281.

Żoną syna Władysława, księcia Bolesława I., była Grzymisława, nieznanego rodu, a nie Eufemia, księżniczka wrocławska, jak podaje dr. Grabski. Mieli oni trzech synów, jak pisałem już powyżej, o których wie też dr. Grabski. Podaje jednak, podobnie jak prof. Makosz, że jeden z nich — Bolko III., otrzymał Sokolą - Górę, (Niemodlin), Głogówek i Strzelce Małe, a drugi, Bolko II. — Opole. Dlaczego Bolesława Niemodlińskiego dr. Grabski oznacza cyfrą III.. nie wiem. Jako książę niemodliński (sokologórski — falkenbergski), był on Bolesławem I. Jego właśnie żoną była Eufemia (Ofka), księżniczka wrocławska.

Za pomyłkę druku można uważać datę dostania się pod Siewierzem do niewoli księcia Bolka II. — rok 1250 (bitwę tę lepiej może oznaczać „pod Bytomiem"?) W rzeczywistości Bolko II. dostał się do niewoli książąt kujawskich w r. 1289.

Na stronie 240 dr. Grabski wymienia słusznie Bolesława III. jako fundatora pomników grobowych Piastów Opolskich w kościele OO. Franciszkanów w Opolu. Nazywa go jednak mylnie bratem Bolesława II., gdyż był to jego syn. (Bolesław II. zmarł w r. 1356, Bolesław III. w r. 1382). Żoną też Bolesława II. nie była Elżbieta, królewna węgierska, rodzona siostra Ludwika, króla węgierskiego i polskiego, — tylko Elżbieta, księżniczka świdnicka, córka księcia Bernarda i Kunegundy Łokietkówny, a więc siostra cioteczna Ludwika, syna drugiej córki Łokietka, Elżbiety.

Na str. 241 podaje dr. Grabski, że Władysław Opolczyk miał dwóch synów. W rzeczywistości miał on trzy córki, a żadnego syna. Zmarł zaś w r. 1401, a nie 1396.

W dalszym ciągu, na tejże stronie, uważa autor za księcia opolskiego Bernarda. Był to jednak książę na Niemodlinie, pochodził tylko z rodu książąt opolskich i pisał się „z Opola".

Dr. Grabski podaje wreszcie, że w r. 1474 księciem opolskim był Mikołaj II. i że na jego wnuku Janie wygasła piastowska linia książąt opolskich. Tymczasem w roku 1474 księciem opolskim był Mikołaj I. (zmarł w r. 1476) a po nim panowali synowie jego: Mikołaj II (zabity w Nysie, w r. 1947) i Jan Dobry, ostatni, zmarły w r. 1532.

Nie wiem (gdyż autor tego nie podaje) z jakich źródeł korzystał dr. Grabski. Co do mnie opieram się głównie na pracy pewnej i źródłowej, Hausdorfera: „Die Piasten Schlesiens" (Wrocław 1933). Znalazłem w niej dotychczas tylko kilka drobnych pomyłek. Z innych znanych mi prac wymienić muszę także: Dr. Józefa Gotschalka: „Die oberschlesischen Piasten-Herzöge in 13. u. 14. Jahrhundert", nie mówiąc już o podstawowych Kodeksach Dyplomatycznych, itp.

Dr Wł. J. Grabski w przedmowie do swej książki, „200 miast wraca do Polski", podkreślił, że zdaje sobie sprawę, że ta praca jego nie obeszła się bez omyłek, zrozumiałych w warunkach, w jakich była pisana. Polecił nawet poprawianie ich — życzliwym czytelnikom. Jako taki więc napisałem kilka powyższych uwag. Przydadzą się one może przy następnym wydaniu tej książki, czego dziełu temu z całego serca życzymy.

Jeszcze jedno należy poruszyć w związku z omawianymi pracami: sprawę numeracji książąt opolskich. Księstwo Opolskie pod panowaniem Piastów istniało od roku 1179 do r. 1532. Książąt jego według imion było w tym czasie: pięciu Bolesławów, po dwóch Mieszków, Władysławów i Mikołajów, po jednym — Jarosławie, Kazimierzu i Janie. I w tym zasięgu imion powinni oni być numerowani. Czyli np. Władysław Opolczyk (1382—1401) jest Władysławem II. a nie III. jak go błędnie jeszcze sam nazywam w pracy mej „Z przeszłości Opola" na str. 14 i 19.

Na zakończenie podaję, że uważam drugą część pracy prof. Makosza, str. 23—28: „Średniowieczne zabytki Opola", za bardzo cenną. Opisuje tu bowiem autor to, co zna dobrze z codziennego życia się z miastem. Powinien tę część swej pracy obszerniej potraktować, powiększyć przede wszystkim o opis zamku na wyspie, na którego zburzenie w r. 1928—30 chyba patrzył, i wydać osobno. Obszerniej też należałoby opisać kościoły opolskie i znajdujące się w nich zabytki.

Zastanawiając się wreszcie ogólnie nad historią Opola (i Opolszczyzny), dopiero na tle skromnego dorobku naszego na tym polu widzimy, jak wiele jest tu jeszcze do zrobienia, ile trzeba opracowań poszczególnych zagadnień i fragmentów — nim będzie mogła być napisana, popularna chociażby tylko, historia Opola i Ziemi Opolskiej. **Roman Horoszkiewicz.**

Dziedziński piśmiorz

Siedzę na oszklonej werandzie ładnego domu pod Beskidami. Gdyby otworzono drzwi na przestrzał przez sień i leżący na przeciw nas pokój, w oknie ujrzałbym naprzód zielone korony drzew rozległego sadu a ponad nimi, długi, leniwy grzbiet Czantorii. Dom bowiem stoi w Ustroniu, „na gojach", tuż u podnóża gór, od których oddziela go jeszcze jakiś przejściowy pagór podkadzany dymem dwóch wapienników.

Przede mną na prostym stole leżą trzy zeszyty. Jeden z nich jest grubszy, bogatszy w karty i treść, dwa są cieńsze, w miękkiej okładce, zwyczajne szkolne bruliony. Regularnym i pięknym pismem wpisana jest w nie treść całego życia siedemdziesięcioletniego człowieka, który siedzi naprzeciw i wyjaśnia to, czego pracowicie wypełnione karty nie notują. Bo tam zanotowane są tylko tytuły dwóch tysięcy książek, stanowiących księgozbiór Jana Wantuły, tam zapisano tylko tytuły i daty dwustupięćdziesięciu jego artykułów, felietonów i rozpraw wydrukowanych w ciągu czterdziestuośmiu lat pracy pisarskiej. I naprawdę nie zapisano tam wszystkiego: tego, że właściciel tych książ i autor tych prac był 32 lata robotnikiem w hucie w Ustroniu i Trzyńcu, że 45 lat dźwigał do tego na barkach ciężar niewielkiego gospodarstwa z wielkim sadem, który niegdyś, gdy nie było jeszcze wapienników, huczał rojami pszczół, że był ruchliwym działaczem politycznym, że szerzył oświatę i kulturę w swoim robotniczo-wiejskim środowisku. Trudno, tego nie wykażą tytuły książek, może więcej powiedzą tytuły tych zrejestrowanych sumiennie „pisanin". Resztę uzupełnia spokojna, nie chełpliwa, przerywana chwytaniem oddechu opowieść.

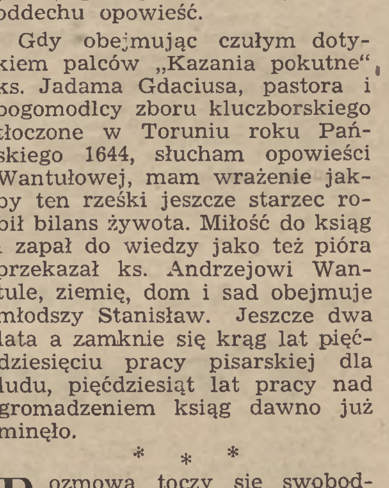

Gdy obejmując czułym dotykiem palców „Kazania pokutne" ks. Jadama Gdaciusa, pastora i bogomodlcy zboru kluczborskiego tłoczone w Toruniu roku Pańskiego 1644, słucham opowieści Wantułowej, mam wrażenie jakby ten rześki jeszcze starzec robił bilans żywota. Miłość do ksiąg i zapał do wiedzy jako też pióra przekazał ks. Andrzejowi Wantule, ziemię, dom i sad obejmuje młodszy Stanisław. Jeszcze dwa lata a zamknie się krąg lat pięćdziesięciu pracy pisarskiej dla ludu, pięćdziesiąt lat pracy nad gromadzeniem ksiąg dawno już minęło.

* * *

Rozmowa toczy się swobodnie choć z trudem szukam dla niej pewnej postawy. Znajduję ją w końcu. Jest postawą ciekawego słuchacza. Ciekawego rozległości tych horyzontów, jakie otworzył sobie umysł człowieka, który ma za sobą trzy klasy szkoły powszechnej przy nauce przerywanej pasieniem krów i innymi zajęciami gospodarskimi, który wiedzę zdobywał nie jak normalnie w gimnazjach i na uniwersytetach, lecz poza pracą w gospodarstwie i przy warsztacie ślusarskim w hucie, na marginesie ciężkiego życiowego wysiłku, gdy ten margines był właściwie treścią życia.

Tę ścisłą łączność pomiędzy robotnikami i chłopem, to osobliwe ukształtowanie indywidualności tak charakterystyczne dla wiejsko-przemysłowych okolic Śląska Cieszyńskiego, widzi się w Wantule najlepiej przy przeglądaniu tytułów jego artykułów i prac. Na jednym ich krańcu stoją szczególnie liczne artykuły i korespondencje dotyczące spraw robotniczych, namiętne, śmiałe, ostro krytykujące, walczące z wyzyskiem i szykanami, z majstrami i pracodawcami, z rozbijactwem i swarami. Na drugim rozprawki fachowe o drzewach owocowych i pszczelarstwie, o sprawach wsi i chłopa.

A pomiędzy tymi dwoma krańcami cóż za bogactwo tematów! Przede wszystkim sprawy oświaty i kultury, sprawy książki i czytelnictwa. Dalej ostre artykuły polityczne w pismach, których podtytuły czterdzieści lat temu głosiły: „pismo poświęcone sprawom ludu polskiego na Śląsku" lub „organ stronnictwa radykalno-narodowego w Księstwie Cieszyńskim". Osobny dział to walka z alkoholizmem prowadzona przez całe życie konsekwentnie i uparcie. (Tu przychodzi mi na myśl, że do Jana Wantuły winni udać się w pielgrzymce Wojciech Natason i Anna Świrszczyńska; poczęstowałby ich chyba doskonałym winem owocowym, szczytem marzeń autorki „Orfeusza"). Jeszcze sprawy szkolnictwa, wyznaniowe, gospodarcze i znów jeden dział osobny: rzeczy słowiańskie. „Bo ja jestem słowianofilem" — wyjaśnia Wantuła dawną terminologią, gdy patrzę z szacunkiem na białe kruki nie tylko bibliofilskie — jego broszurki o Słowakach Martinie Razusie i Janie Kalincziaku. Pierwsza data na tych wszystkich pisaninach to rok 1899, a potem już idzie gęsto rok za rokiem aż po datę wybuchu ostatniej wojny. A jeszcze i po tej wojnie straconej zupełnie dla pióra i spędzonej trwożnie na straży ksiąg, z których co cenniejsze kryły różne schowki i fortele, znajdzie się niejedna pozycja, chociaż dzisiaj Śląsk Cieszyński nie ma już ani jednego pisma, w którym dawniej czynne było pióro „dziedzińskiego piśmiorza".

Drugie odbicie tych wszystkich zainteresowań to księgozbiór. Większość beletrystyki wywędrowała zeń hojnie przed wojną do biblioteki Macierzy Szkolnej i Związku Polskiej Młodzieży Ewangelickiej, po wojnie do tworzącej się biblioteki gminnej. W sumie chyba z osiemset tomów. Pozostało przeszło 2000, na których widok oko bieleje bibliofilom. Bo też tam „białe kruki" stadkami i to gęstymi przycupły. Przede wszystkim niezwykle bogata polska literatura protestancka. Szczególnie cieszyńska, ale i druki z Brzegu nad Odrą obejmują kilkadziesiąt pozycji. Są tu najstarsze biblie polskie, postylle, kancjonały, kazania i mowy pogrzebne, bogata literatura dewocyjna, wśród której nie brak i rzadkich dziś niezmiernie książek katolickich, gdzie co raz przewijają się tak pełnie brzmiące nazwiska Muthmana, Zasadiusza, Gdaciusa, Herbiniusa, Kłapsi, Heczki, Leopolda Otto, Michejdów. Wszystko starannie oprawne, karty popodklejane z pietyzmem, miejsca brakujące pedantycznie pouzupełniane. Dalej idą szczególnie liczne i bogate *silesiaca* cieszyńskie, książeczki, broszury i księgi, jakie rzadko kto dzisiaj pamięta, a jeśli pamięta, liczy w poczet rzeczy straconych. Osobne działy to religioznawstwo i filozofia. Alkoholizm osobno skatalogowany. Znów osobno *slavica* z wielką ilością pozycji czeskich a specjalnie słowackich. Poezja, dramat, powieść, historia i krytyka literatury. Zamykają ten rejestr dwie czy trzy stroniczki: książki z dedykacjami, przedmiot szczególnej dumy chłopa i robotnika, któremu za pośrednictwem Juliana Ochorowicza sam Bolesław Prus na gwiazdkę przysłał „Placówkę" z dedykacją. Sam Ochorowicz to kilkanaście dedykowanych Wantule pozycji. Drugie tyle to Andrzej Strug, poznany w początkach pierwszej wojny w Trzyńcu. Przyjaźń z Pawłem Hulką-Laskowskim też utrwaliła się w dedykacjach. Podobnie przyjaźń z Konińskim i Orkanem, który tu, u Wantuły „na gojach" pisał niedokończoną „Czantorię".

* * *

Jan Wantuła, „piśmiorz dziedziński" i bibliofil, kończy w dniu 20 września 70 lat życia. Jest w swej samotności niemal przedstawicielem czasów, które mijają i które minąć powinny. Dziś każdej wsi i każdej fabryce potrzebny byłby przynajmniej jeden Wantuła, lecz nie skazany na własne siły, na ślęczenie po nocach, na hodowanie pszczół, pielęgnację sadu po to, by zdobywać książkę i dawać ją dalej. Dziś trzeba takich ludzi szukać i iść im z pomocą.

* * *

Na zakończenie jeszcze słowo wyjaśnienia dla sceptyków: sława Wantuły nie dzisiejszej jest daty i to, co powyżej, nie z modnej koniunktury na chłopa i robotnika wypływa. Pisali o nim Koniński, Hulka-Laskowski, Chwalewik i inni, pisały książki i czasopisma. Nie ominęły go dyplomy i odznaczenia, jakże zasłużone, nie omijała go przyjaźń ludzka i przyjaźń pisarzy.

Pisałem dla przypomnienia. Z podziwu i szacunku.

Zdzisław Hierowski.

regionalizmów

częściej zdarza — w pojęciach praktycznego języka publicystyki.

Otóż regionalizm literatury trzeba oglądać w płaszczyźnie swoistego stylu, prześledzić należy, czy nie ma region swoich ulubionych gatunków literackich, czy nie układa jakoś specjalnie zależności między liryczną, epiczną a dramatyczną formą wypowiedzi. Czy gospodaruje w specjalny sposób schematami kompozycyjnymi, a przede wszystkim obserwować się powinno właściwości stylistyczne, wreszcie zaś leksykę poetycką i zasób konwencji wersyfikacyjnych. Takie elementy opisu mogą dać dopiero odpowiedź, czy mamy do czynienia z literaturą regionalną, czy z wycinkiem „obojętnym" literatury polskiej.

Gaszynowie i Ondraszki, gronie i żabie kraje, nawet wyrąbane chodniki — decydują o takim lub innym walorze śląskiej kultury dla etnografa, ale nie dla historyka literatury.

Nie posiadamy jeszcze opracowań historyczno-literackich omawianego piśmiennictwa, przecież dzisiaj raczej z braku cech pozytywnych, z braku odpowiednich obserwacji — odmówimy tutejszej literaturze cech regionalnych.

Nie znaczy to, by Śląsk nie miał własnej konstrukcji życia literackiego — przeciwnie była ona, zwłaszcza w wieku XIX zupełnie silna. Miał Śląsk własne drukarnie, czasopisma reklamujące książki, publicystów wpływających na charakter literatury, miał autorów. Co ważniejsze — ilość drukarń, gazet była tak duża, że Śląsk był w zakresie słowa pisanego niemal samowystarczalny, czasem nawet eksportował.

Są to jednak formy techniczne przekazu treści kulturalnych — same zaś treści nie miały na Śląsku ani zamkniętego, własnego życia, ani ciągłości tradycji, ani specjalnych cech.

Damrot chwali Lompę, Skowroński Damrota, Bonczyk Stabika, ale są to powiązania emocjonalne i personalne — Bonczyk nie naśladuje Lompy, ale Mickiewiczą, Jaroń nie kontynuuje poezji Damrota.

JĘZYK A KULTURA

Ostatecznie o losach regionalizmu śląskiego zdecydował Lompa — paradoks jemu właśnie, pierwszemu i doskonałemu etnografowi tej ziemi zlecił przesądzić o zatracie odrębności kulturalnej Śląska. — Na początku wieku XIX, a więc w czasie, który jest nam względnie znany, a ważny jednocześnie przez początek ruchów odrodzeńczych — Śląsk posiadał gwarę, która mogła awansować do funkcji języka literackiego, gdyby nie ów opolski druk Lompy z roku 1821. Niemcy gwarę wyśmiali, Lompa dobił „Krótkim wyobrażeniem historyi Szląska". Propagował literacką polszczyzną głównie samymi drukami, często zaopatrując książeczki w objaśnienia trudniejszych wyrazów. Nie jest dla nas obojętne, że działający niemal współcześnie Antoni Stabik używa również czystej polszczyzny. Nie zanotowaliśmy żadnych wahań — od druku Lompowego wydaje się tylko książki pisane polskim językiem literackim; druki gwarowe są nieliczne, a jeśli się ukażą to w ramie opisu, w cudzysłowie niejako.

Znamy przykłady, wcale niedalekie, gdy o losach kultury narodowej decydowała — czcionka. Oto zręby literatury białoruskiej — grupy etnicznej znacznie liczniejszej niż śląska — tworzą pisarze pochodzenia polskiego: Jan Czeczot, Konstanty Kalinowski, Rypiński, Barszczewski, drukując teksty białoruskie czcionką polską. Dopiero kiedy po powstaniu styczniowym rząd carski, bojąc się rewolucyjnych infiltracji, zakaże jej używania, weszła w użycie czcionka rosyjska (wyjątkowo i czeska). Jednocześnie ze zmianą formy graficznej — tak pozornie odległej od wszelkich treści — powstała samodzielna twórczość literacka na Białej Rusi: pojawiły się talenty rodzime, Konstanty Mickiewicz, Jan Łucewicz, pierwsze pisma — „Sacha" i „Łuczynka". Przemieściły się też wówczas ośrodki publicystyczne — jeszcze w roku 1906 „Nasza Dola" (później „Nasza Wieś") miała redakcję w Wilnie, a jedyna spółka wydawnicza mieściła się w Petersburgu — trafiły do Mińska.

W Norwegii do dziś żywa walka językowa osłabia życie literackie tego kraju. Długoletnia unia polityczne państw skandynawskich pozostawiła Norwegom w spadku język elity zbliżony do szwedzkiego, o pisowni jednak duńskiej (zmieniono ją dopiero w 1907 roku). Konsekwetnie i powoli wzbogacano ten dziwny twór słownictwem rodzimym, aż doszedł do poziomu na prawdę niebylajakiego — w twórczości Ibsena. W połowie ubiegłego stulecia wspomniany Ivar Aasen, chłop norweski, wydając gramatykę i słownik języka ludowego wprowadził do federacji środowisk kulturalnych norweskich stary język sag, żywy jeszcze nad fiordami, tak zwany „landsmål", a z nim nowe tendencje kulturalne. Spór między językiem literackim „riksmål", a językiem rodzimym doprowadził do dwutorowej polityki kulturalnej, prasy dwujęzycznej etc. Nie wszędzie więc tak gładko jak na Śląsku układa się życie literatury.

PORÓWNANIA

Zbierzmy rozsypane ilustracje. Prowancja posłużyła nam za przykład regionalizmu w jego najczystszej i najpełniejszej formie. Wzbudza podziw rozmachem i urokiem adaptacji ludowych form literackich, atrakcyjnością środowiska, trwałością pracy (francuskie „Zaranie" — rocznik „L'Armana Prouvancau" wychodził od 1855 do 1918 roku!). Imponuje nam zarówno szlachetną maksymą: „Co brzydkie niech się kryje, co piękne niechaj błyszczy" (cytat z „Venus z Ales" Aubanela), jak i przeniesieniem w rezultacie pojęcia regionalizmu ze spraw języka, psychiki, oryginalności literatury — na problemy ekonomiczne i administracyjne. W Rumunii z entuzjazmem podjęto pomysł oparcia literatury narodowej na elementach folkloru, w Norwegii trwa spór między stolicą, a regionami o powszechność języka literackiego, we Włoszech rozstrzygnięto go — przynajmniej naukowo na niekorzyść kultury ludowej, Białoruś zaś, położona analogicznie do Śląska między dużymi systemami kulturalnymi, dopiero po przezwyciężeniu poza ludowego elementu w literaturze, odnalazła swoją (warunkowaną cechami etnicznymi) własną twórczość.

Śląsk na tle takiego przeglądu dowolnie dobranych przykładów — jak widzimy, nie miał tej rozpiętości i pełności form, co regionalizm prowansalski. Nie stworzył swojej własnej idei, hasła. (Odczuwają to niektórzy jako wyraźną pustkę, po haśle „przy wierze i mowie ojców", które wypaliło się, spełniwszy wielką funkcję). Odrębność typu psychicznego nie została właściwie zamanifestowana — najpełniejszy swój wyraz znalazła w rozprawie ks. E. Szramka: „Śląsk jako problem socjologiczny" a i tam jest wiele „miejsc niedokreślonych". Nie wyszedł jeszcze Śląsk z fazy rejestrowania, zbierania materiałów swojej sztuki i swojej politycznej ideologii. Dopiero przenosi się na przekaz drukowany to, co dotąd było żywe jako prymitywy; nie doszedł jeszcze do stwierdzenia wartości własnych, nie można więc mówić o równaniu ich z kulturą „stolicy", tym mniej o separowaniu się od tych treści kulturalnych, które stolica daje. Nie miejsce tutaj na szczegółowe porównanie z regionalizmem kaszubskim i tymi deklamacjami separatystycznymi, które stamtąd dochodziły, a ponoć znowu dają się słyszeć. Interesować nas może jedno — jako symptom — mianowicie dążenie do utrzymania odrębnego języka pisanego na Kaszubach. Świadczy to o tendencji do stworzenia dystansu, do utrudnienia wymiany konwencji kulturalnych.

Przypomnijmy raz jeszcze — dla pełności obrazu — że **publicyści i literaci śląscy nie dysputowali, czy i jakie treści ogólnopolskiej kultury nie są dla Śląska odpowiednie, nie sprzeciwiali się pomnożeniu dróg i kontaktów.**

W okresie walki o narodowość nie było ani czasu, ani sił na stworzenie żywych ośrodków myśli regionalnej, na zbudowanie tradycji, ukształcenie konsekwentnych działaczy — potrzeby polityczne były ważniejsze. Zważmy, że podobnie problemy socjalne zostały pominięte — tak absorbowała walka z niemczyzną. Wreszcie zaniedbanie gwary, brak starań o utrzymanie własnego języka literackiego — sprawa tak doniosła w świetle przytoczonych przykładów — dopełnia serii argumentów przeciw określeniu kultury śląskiej jako regionalnej.

*

Nie pomniejszajmy znaczenia tego regionu: jest na prawdę potężnym czynnikiem w skali ogólnopaństwowej na polu gospodarczym, można mówić również o wartościach Śląska w aspekcie typów administracji.

W dziedzinie literackiej jednak nie prezentował dotąd takich sił i wartości, które by w federacji polskich środowisk literackich miały istotne znaczenie. Dopiero lata międzywojenne wskazują nową sytuację i rokują nadzieję zaspokojenia ambicji Śląska również w tej dziedzinie.

Natomiast wzbudza szacunek literatura na Śląsku swoją autonomiczną konstrukcją życia literackiego. W tym leży jej walor i oryginalność, jej wartość moralna.

Julian Lewański

*) Por. art. „Z trosk o ramy i definicje w n-rze 33 „Odry".

Smutne przyczynki

W kwestii ludności rodzimej na Ziemiach Odzyskanych ciągle jeszcze pojawiają się w prasie polskiej głosy, w zasadzie niesłuszne i niesprawiedliwe. Z tymi głosami starają się walczyć inne opinie, wykazujące nieraz coś wręcz przeciwnego. Szczególnie drogie są nam te wszystkie sądy, które usiłują bronić sprawy słusznej i sprawiedliwej. W wielu wypadkach przytaczają one fakty i zdarzenia, nad którymi nie można przejść do porządku dziennego. Ponieważ pochodzą one już z okresu po wydaniu słynnego dekretu Ministra Ziem Odzyskanych w sprawie pełnego równouprawnienia ludności rodzimej i przeciwko pochodzącym najczęściej z głębi kraju sabotażystom polskości na tych terenach, dedykujemy je ze smutną satysfakcją wiceministrowi Ziem Odzyskanych, Józefowi Dubielowi, który wspomniane rozporządzenie podpisał.

TRYBUNA ROBOTNICZA

Mam na myśli los kolejarzy-autochtonów, których zatrudnia katowicka Dyrekcja ok. 7.000 i w niektórych działach liczba dochodzi do 10 proc. zatrudnionych pracowników. Ludzie ci to przeważnie starzy fachowcy, mający za sobą niejednokrotnie po kilkanaście i kilkadziesiąt lat pracy w kolejnictwie, zajmujący kiedyś poważne stanowiska ruchu i zawiadowców stacji. Są to niewątpliwi Polacy, ludzie, którzy nie dali się ewakuować Niemcom, którzy narażając się, pozostali na posterunkach, częstokroć ratując przed zniszczeniem wojennym majątek kolejowy. Złożyli jedni z pierwszych wnioski o weryfikację, zostali zweryfikowani, posiadają tymczasowe zaświadczenia obywatelstwa i jako tacy na podstawie okólnika Ministerstwa Ziem Odzyskanych Nr II/SP/SP/22/47 z dnia 5 czerwca stali się pełnoprawnymi obywatelami Państwa.

Tak przynajmniej powinno być, tak wynika z wyżej cytowanego rozporządzenia, tak myśleli oni, tego samego zdania jesteśmy i my, inaczej, niestety myślą o tym władze kolejowe.

Czymże bowiem tłumaczyć, że kolejarze ci choć pracują bez przerwy przez cały rok traktowani są jako ... sezonowi pracownicy. W związku z tym nie otrzymują należnych kolejarzom przydziałów butów, mundurów, nie mają prawa korzystania nawet z biletów dla kolejarzy. W takiej chwili mogą być zwolnieni — bez żadnych praw emerytalnych — boć to tylko robotnicy dniówkowi, sezonowi.

Ale to jeszcze nie wszystko. Wyrządza im się krzywdę większą bez porównania, krzywdę moralną, „Św. Biurokracy“ rozumuje logicznie: „Nie jesteś pełnoprawnym obywatelem, nie możesz zajmować odpowiedzialnego stanowiska. Stąd wniosek: zwolnić autochtonów ze stanowisk odpowiedzialnych, zwolnić ze stanowisk maszynistów, dyżurnych ruchu, zawiadowców. Przenieść na stanowiska mniej odpowiedzialne, choćby na zamiataczy.

Opowiadają o tym ze łzami w oczach, 72-letni Bonczek Walenty z Nowej Wsi, kolejarz, który 36 lat pracuje przy prasie w warsztatach wagonowych w Opolu, opowiada 58-letni Woszak Tomasz z Grodźca, mający za sobą 38 lat służby, elektromonter w tychże warsztatach, „główny spec od elektryki“ jak mówią o nim kolejarze, którego dwóch synów również pracuje na kolei, a jeden z nich jest mistrzem kotlarskim. Potwierdza to 57-letni Kurpiers Paweł z Nowej Wsi, który przy warsztacie ślusarskim w opolskiej wagonówce stoi już 36 rok, a ma na utrzymaniu żonę i małe dzieci.

„Chcieli nas Niemcy 19 stycznia 1945 r. ewakuować, myśmy się pokryli a teraz ubrania zdarte, buty zniszczone, nawet — węgiel — przed rokiem dostawaliśmy 3.600 kg. rocznie, a teraz tylko 1.800“.

„A przecież robotę wykonujemy tę samą co inni kolejarze“.

„My się od roboty nijakiej nie uchylamy, Potośmy zostali by pracować w Polsce dla Polski“.

„Powiedzcie tow. redaktorze, dlaczego tak jest?

Patrzę na starych kolejarzy, na spracowane ich dłonie, bo wstyd spojrzeć im w oczy. Chcę znaleźć odpowiedź w ustach tow. wicedyrektora DOKP. w ustach prezesa okręgu ZZK..

Wśród czasopism

Głos Ludu podjął kwestię a *Odrodzenie* przytwierdziło. A kwestię określono jako *inflację pism literackich*. I sprawa została nawet rozsądnie postawiona. *Głos Ludu* uważa zupełnie słusznie, że każde pismo literackie powinno legitymować się jasno zarysowanym programem kulturalnym. Taki program jest potrzebny m. in. i dlatego, by pismo stanowiło również „ośrodek wychowawczy w stosunku pisarzy“. Ale „wychowywanie pisarzy“ przez redakcję czasopism literackich to sprawa bardzo problematyczna. Najczęściej kończy się na „kapliczkach“ i zgranych towarzystwach wzajemnej adoracji. Ale mimo wszystko coś w tym jest, a program kulturalny jest pismu bezwzględnie potrzebny. I bez niego pismo traci w dużej mierze, jeśli nie całkowicie, rację bytu. Ale decydowanie o tym, które pismo program taki posiada i jaki to jest program, nie jest już rzeczą łatwą, czego dowodem choćby dalsze, operujące konkretnymi tytułami wywody *Głosu Ludu*. Do grupy bowiem pism z programem zaliczono tu tylko cztery tygodniki: *Odrodzenie, Kuźnicę, Wieś i Odrę*. Pierwszym przeoczeniem jest tu chyba miesięcznik *Twórczość*. Inne przeoczenia dotyczą katolickiej prasy literackiej, a zwłaszcza *Tygodnika Powszechnego*. Brak w wykazie pism z „programem“ *Nowin Literackich* wskazywałby, że wycieczka m. in. i w kierunku tego tygodnika jest wymierzona, do czego mógłby się przyczynić eklektyzm *Nowin*, którym zdaje się poważnie ciąży ich przedwojenny wzór. A dlatego ciąży, że w dzisiejszych warunkach jest wzorem nie do powtórzenia i bezpłodnym w naśladowaniu. Styl tego wzoru nie bardzo do naszych czasów pasuje, a przecież i same *Wiadomości Literackie* zaczęły płynąć po wodach spokojniejszych już czasów, nie wystąpiły „zaraz po wojnie“. Dlatego z sądami o *Nowinach* może nie należałoby występować zbyt pochopnie. Redakcja niewątpliwie wie, czego chce, wie, do czego dąży, wydaje się jednak, że ma pewne trudności z takim układem materiału, by jej cele i zamiary znalazły w piśmie pełny wyraz. Podobnie nie da się przecież postawić na jednym poziomie „Wałbrzycha“, „Nowin Opolskich“ i „Arkony“. Co do dwóch pierwszych pism, mamy wyrobione zdanie. Pierwsze z nich należało zlikwidować rok temu, z drugim był i jest problem, który może być rozwiązany, ale zwrócić należy uwagę, że z Opolszczyzny *Nowiny Opolskie* wypierane są przez chętniej tam czytany katowicki tygodnik *Ogniwa*. Popularna prasa dla ludności Ziem Odzyskanych zwłaszcza dla terenów zamieszkałych przez polską ludność miejscową (żeby nie rzec autochtonów), jest konieczna i sprawę tę musi się załatwić inaczej niż przez zalecanie *Odry*, która pismem popularnym nie jest i chyba być nie powinna. A jeśli idzie o miesięcznik *Arkona*, nie jeden raz miałem sposobność pisać pozytywnie o tym pięknym i pożytecznym periodyku poświęconym kulturze i sztuce Pomorza. Gdyby inicjator akcji likwidacyjnej czasopism literackich przeczytał uważnie jeden tylko numer Arkony, byłby niewątpliwie innego zdania. Pismo to dobrze reprezentuje swoje wcale rozległe i bogate środowisko kulturalne. Rzecz prosta, że i w nim sporo jest materiału dosyć przypadkowego, eklektycznego, ale kto zwróci uwagę na „pomorską“ treść *Arkony*, nie miałby wątpliwości co do celowości jej istnienia. Tak żywotnego i tak ambitnego środowiska kulturalnego, jakim się stało Pomorze po wojnie, nie wolno pozbawiać niewielkiego miesięcznika, który może służyć za wzór pod wieloma względami, jako wierne odbicie tego, co się tam w dziedzinie kultury robi. Gdyby chociaż jeszcze Poznań miał jakieś pismo tego typu, ale miasto to ze swoimi sprawami kulturalnymi szuka schronienia m. in. i na łamach *Arkony*.

Program likwidacji zbędnych czasopism literackich uzasadnia inicjator z *Głosu Ludu* względami na oszczędność papieru i funduszów publiczno-społecznych (jako że pisma literackie są deficytowe). Względy słuszne, ale jeśli nimi mamy się kierować, to bądźmy sprawiedliwi i zacznijmy od pozycji zdecydowanie niepotrzebnych a nawet wręcz szkodliwych. Dużo taktu wykazał autor projektu nie zaliczając do pism literackich tygodnika *Co tydzień powieść*, który, jak dowiedzieliśmy się z *Nowin literackich*, obchodził jubileusz 50-go numeru. A chyba czystka wśród czasopism od tej wdzięcznej pozycji powinna się zacząć, jeśli nie znajdzie się wreszcie jakiś rozsądny i odpowiedzialny człowiek, który z tej szmiry zechciałby zrobić pismo kulturalne (może nawet literackie) dla szerokich mas, magazyn, który artystycznym poziomem swej treści i formy, dostosowanym do możliwości percepcyjnych najprostrzego czytelnika i przez stałe podciąganie jego upodobań czytelniczych, oddziaływałby w sposób pozytywny i był jednym ze środków zmierzających do ważnego upowszechnienia kultury. Równorzędnym kandydatem jest *Nowy Świat Przygód*. Potem idą stadami całymi różne pisma i pisemka, których nie przebraną ilość rejestrują cierpliwie Biura Kontroli Prasy, nie wyłączając nowo powstałych pism literackich jak *Poprostu* lub zapowiadanego przez prasę codzienną nowego tygodnika społeczno--literackiego w Krakowie, który „ma wypełnić lukę po przeniesieniu się *Odrodzenia* do Warszawy“. Oto wdzięczne pole działania dla likwidatorów. Pomożemy im, słowo honoru, że pomożemy. A dopiero zrobiwszy z tym porządek, będziemy dyskutować, które pismo literackie ma program i które ma rację bytu. I dojdziemy chyba po tym wszystkim do przekonania, że inflacja na tym odcinku nie jest taka groźna, że zaczynając likwidację od przeciwnego końca, postąpiliśmy słusznie i że zlikwidowaliśmy ją w 99 procentach.

Przy tej okazji warto by się jednak zastanowić, czy inną drogą nie uda nam się uzyskać pewnych oszczędności. Podobno w praktycznej i gospodarczej Czechosłowacji, której literaci narzekają zresztą, że nie posiada ona ani jednego tygodnika literackiego na poziomie czołowych tygodników polskich (w przeciwieństwie do tego, co twierdzi na podstawie informacji St. Dygata p. Jerzy Weil, czasopisma literackie opierają się głównie o prenumeratę i według stanu prenumeraty regulowane są ich nakłady). Przed wojną i u nas prenumerata decydowała o wysokości przynajmniej 80 proc. nakładu czasopisma. Gdybyśmy zdołali zapanować nad nagłymi zwyżkami papieru i kosztów druku, moglibyśmy i my pomyśleć o podobnym regulowaniu sprawy. Przypuszczam, że oszczędności przede wszystkim papierowe byłyby w wielu wypadkach wcale znaczne. (ki).

Farbowane lisy

Tadeusz Kudliński wydał po wojnie dwie książki. Warto przy okazji ukazania się na półkach księgarskich „Farbowanych lisów“*) przypomnieć czytelnikom dotychczasową twórczość beletrystyczną tego doskonałego powieściopisarza. Warto dlatego, że Kudliński należy do rzędu prozaików, którzy z każdą wydaną książką przynoszą nowe zdobycze w technice pisarskiej powieści, z których żadna nie jest podobna do drugiej. Kudliński szuka, odświeża utarte ścieżki, przestawia wytyczne punkty, wyłamuje się spod panujących dyscyplin. Dość przypomnieć tylko „Wygnańców Ewy“, pierwszą polską powieść wielowątkową, „Rumieńce Wolności“ i „Uroki“, nowoczesne, interesujące powieści historyczne, o wiele lat wyprzedzające pisarstwo behaviorystyczne oraz niedawno wydaną „Mantelupę“, powieść — pamiętnik z więzienia. Wszystkie te książki poza wielkim talentem narracyjnym wykazują dążność do znalezienia takiej formy dla powieści, która by całkowicie odpowiadała danemu rodzajowi opowiadania. Trzeba przyznać obiektywnie, że każdorazowa technika obrana przez Kudlińskiego jest idealnie związana nie tylko ze sposobem toku powieściowego, ale i z formą stylistyczną dzieła. Czytelnik biorący książkę Kudlińskiego do ręki, może być z góry przekonany, że obok szlachetnych treści, szerokiego światopoglądu, znajdzie zaskakujący, ciekawy problem fabularny. Kudliński bowiem, jak rzadko który pisarz, szanuje czytelnika. Jego literatura nie ma w sobie ani odrobiny nudy, czy przewlekłej publicystyki, przeciw którym podnoszą się coraz liczniejsze głosy krytyczne. Kudliński nie odstępując od swych zdobyczy artystycznych ani przez chwilę nie oddala się od czytelnika. Jest to wielka zasługa: artysty i człowieka społecznego.

„Farbowane lisy“ są typowym przykładem powyższych stwierdzeń. Autor „Wuja Rafała i Ski“ nie przestał być wiernym swym najistotniejszym ideom powieściopisarskim. Oddaje czytelnikowi książkę fascynującą i prostą, inteligentną i pełną humoru, mądrą i odkrywczą.

„Farbowane lisy“ — są opowiadaniem o jubileuszu zasłużonego pisarza, jubileuszu, który trwa krótko — dzień i noc. Dzień poświęcony uroczystościom i rozmowom i noc ofiarowaną pijaństwu i rozmowom. Nie ma w tej książce pasjonującej akcji dramatycznej, a trudno się oderwać od czytania, nie ma powikłań psychologicznych lub faktów odsłaniających wzloty lub dno ludzkiej natury. Są tylko ludzie, typy i charaktery, żywi i ciekawi, którzy w nieustannych rozmowach ze sobą odsłaniają prawdę o człowieku. Są to przeważnie artyści, pisarze, aktorzy, malarze — doskonali ludzie, którzy w najbliższym spotkaniu ze sobą, w jeszcze bliższym z czytelnikiem — ukazują się naraz w całej swojej sylwetce duchowej i artystycznej — „farbowane lisy“ jak ich nazwał w tytule autor. Można domyślać się, że w książce tej idzie o relacje z jakiegoś rzeczywistego zjazdu, można przypuszczać, że ludzie przedstawieni przez autora mniej lub więcej przypominają odbyte dyskusje tej nocy, jako żywo podobnej do nocy weselnej, genialnie pokazanej przez Wyspiańskiego. Sam Kudliński w przedmowie przyznaje, że pierwotny tytuł tej książki miał brzmieć „Słoma, zwiędła róża“, a zatem cytat z „Wesela“, sugeruje więc, że owej nocy jubileuszowej działy się rzeczy może mniej ważne, może mniej ogólne, ale tak wyraziste, tak nęcące jak w bronowickiej nocy listopadowej. Kudliński zaciera jednak starannie ślady, przenosi akcję w inne strony, maluje odmienne krajobrazy, bohaterów ukrywa pod zmienionymi nazwiskami. Można domyślać się o jakim jubileszu książka ta została napisana, ale nie można twierdzić, że „Farbowane Lisy“ są wiernym opisem tej sławnej uroczystości. Autor sugeruje bowiem wyraźnie, że pasjonuje go sam temat, spotkanie ludzi sztuki, konfrontacja ich ze sobą i noc, która miast przykryć wszystko ciemną zasłoną, odsłania ich i demaskuje. „Farbowane lisy“ są książką prawdy o ludziach na serio i na niepoważnie. Mówi się o niej: „o sztuce, pięknie, religii, o naturze, głupocie, wsi, wodzie i miłości, o kuchni, mistyce i kobietach, o pijaństwie, sztuce ludowej, radykaliźmie, rozpuście, aktorstwie i wielu jeszcze innych ciekawych sprawach“. Jubileusz jest tłem, — prawdą są ludzie.

Tak wiele się mówi dzisiaj w Polsce o realiźmie. Szuka się go ze świecą w ręku, ba — nawet angażuje się do poszukiwań cały nowoczesny aparat poznawczy a jakoś nikt ze speców i mędrców literatury nie oparł się na nazwisku Kudlińskiego. Zdaje mi się, że autor ten jest jednym z wybitniejszych przedstawicieli prozy realistycznej w Polsce. Sceny ze „Smaku świata“, obrazy więzienne z „Mantelupy“ nie mają równie godnych odpowiedników w powojennej literaturze“ w swoim pozytywnym i podpatrzonym aż do głębi samej realiźmie. „Farbowane Lisy“, ukazujące postaci ludzkie, przypominają wspaniałe rysunki dürerowskie, gdzie każda zmarszczka, każda żyłka jest ważna i charakterystyczna, a sama jest dziełem sztuki.

„Farbowane Lisy“ — są najbardziej interesującą książką o chwili, o marzeniach ludzkich, o wielkich sprawach i ideach, które siedzą w człowieku, o pustym słowie i fidze z makiem, wreszcie o tym momencie w życiu, w którym rozbudzają się namiętności, wyłażą na wierzch śmiesznostki, kiedy się naraz coś rusza w człowieku, kiedy spod farby wyłazi ktoś inny. „Farbowane lisy“ są świetnym dokumentem psychologicznym i socjologicznym lat przedwojennych. Czytelnik i tym razem nie zawiedzie się na Kudlińskim. Przeczyta bowiem książkę pasjonującą, pełną świetnej dialektyki, niecodziennego humoru, a przede wszystkim prawdziwą. A to się przecież dość rzadko zdarza.

P. S. Kto zna przedwojenne postaci artystycznego Krakowa będzie ryczał ze śmiechu. Kudliński złapał bowiem na gorącym uczynku osoby, które odgrywają w dzisiejszej Polsce wybitne role. Mój Boże, co ci ludzie przed wojną prawili. Warto, aby sobie książkę tę przeczytali, może sobie przypomną. Będą mieli na pewno dla autora uznanie za wielki talent w rysowaniu sylwetek i portretów, pełnych życia i temperamentu i trochę... trochę żalu. Oczywiście do Kudlińskiego. A może za owymi, młodymi latami?

Tadeusz Kwiatkowski

---

*) Tadeusz Kudliński. „Farbowane Lisy“, powieść. Książnica-Atlas. Wrocław — Warszawa. 1947 — str. 260.

Artyści Opery Śląskiej

Barbara Kostrzewska.

Lesław Finze.

Nowa Pojana pod Sobótką

(Dokończenie ze str. 1)

Do dziesięć minut dostaliśmy rozkaz,
Abyśmy z domu wychodzili na czas,
Jedni furami w drogę wyruszają
Inni do lasu z życiem uciekają.

Nast ojcowie piersi nadstawiają¹)
Na front pod kule i bagnety stają,
Masz tu zapłatę mizerny wojaku,
Gdy wrócisz do dom, nie ma ani znaku.

Już tylko gruzy tam gdzie stały chatki.

„Ach gdzie ma żona, gdzie me drogie dziatki?

Czy was spalili, czy was rozstrzelali,
Czy was w daleką krainę pognali?“
Z ziemią zrównana Pojana Mikuli,
O, któż nam z oczu nasze łzy utuli?
Biada ci, wrogu, co na swym sumieniu

Masz tę staruszkę spaloną w płomieniu.

Smutna drużyna pod bagnety dana:
„Gdzie ten partyzant co zabił Germana?“
Chce esesowiec, by go rozstrzelano
Wraz z jego żoną i rodziną całą.
W płomieniu ginie nasza wioska droga,

Niestety, płonie i świątynia Boga
A w niej Najświętsze Serce Jezusowe
Żywy Pan Jezus w monstrancji gore.
Smutna tragedia, prawdziwe zdarzenie,

Słuchajcie żywo, drodzy przyjaciele,
Jest to króciutko w piosnce zawarte,
Było to w roku czterdziestym i czwartym.

Jak spłonęła Pojana a większość jej mieszkańców w lasach szukała schronienia. Upłynęły tygodnie, zanim zdołali się oni odszukać i skoncentrować we wsi Terebleczu koło Seretu, gdzie przygarnęli ich krewni. Mężczyźni, którzy ocaleli z pogromu, wstąpili do wojska polskiego, prącego wraz z armią radziecką ku ziemiom polskim nad Wisłą i Odrą. Niektórzy z nich walczyli pod Warszawą, Berlinem i nad Nysą. Niejaki Józef Kucharek, zwolniony z szeregów wojskowych po kapitulacji Niemiec, pozostał już na Ziemi Śląskiej i wezwał swych krewnych z Pojany, Pleszy, Nowego Sołońca, by powrócili do Ojczyzny wzorem tych, którzy jeszcze w r. 1945 z Baniłowa i Czerniowiec przenieśli się do powiatu kożuchowskiego. Przypadek czy przeznaczenie zarządziły, że pojańczycy repatriowani z Bukowiny osiedlili się w Gutwinowie (obecnie Dobroczyn), Oleszni i Stroszynku u stóp tej samej Sobótki, która była przed wiekami kolebką ich rodów.

Dążyli znad Humory i Seretu budować nową Pojanę, oby szczęśliwszą niż ta dawna, szli z hymnem pochwalnym Ziemi Odzyskanej:

Wracali z pieśnią nadziei i wiary na ustach:

Żegnamy was ostatni raz pojańskie syny, córy
I pola te i lasy te i te rumuńskie góry.
Jedziemy w polski miły kraj, gdzie wstęga Odra płynie,
Bo tam nam żyć, umierać tam, tam Polak nie zaginie.

Taka jest historia Pojany Mikuli. Mała część jej mieszkańców przeniosła się na Słowację.

Marian Gotkiewicz

---

¹) Mowa tu o tych, którzy przemocą zostali wcieleni do wojska rumuńskiego.

Korespondencja

O polskości Ślązaków i o drażliwości

Z reguły nie zabieram głosu w komentarzach czy dyskusjach nad moimi własnymi artykułami. Uważam, iż jeśli ja mam rację a nie mój oponent czy komentator — to czytelnik sam potrafi osądzić sprawiedliwie; a jeśli racji tej nie mam — to jakakolwiek samoobrona byłaby rzeczą raczej nieuczciwą, traciłaby autoreklamą. W wypadku poniższym sprawa jednak wygląda nieco inaczej, niż zwykle i muszę przerwać moje milczenie.

W nr. 35 (92) „Odry“ ukazał się przedruk z pisma „Ogniwa“, gdzie bodaj po raz pierwszy od czasu jak uprawiam działalność publicystyczną spotkałem się z świadomym zafałszowaniem tendencji mojego artykułu. Chodzi o ustęp następujący wydrukowany w „Ogniwach“:

„Bardzo ryzykownie kończy swój artykuł o Śląsku Kazimierz Koźniewski pisząc: „Istota bowiem sprawy polega na tym, by na Śląsku mieszkał Polak i by Śląsk jego właśnie bogacił“. A któż tu mieszka szanowny panie? Otóż to stanowisko jest dość powszechne publicystyce polskiej i trąci ignorancją.“

Dalej autor artykułu imputuje mi, że nie uważam Ślązaków za Polaków. Jeśli chodzi o mnie osobiście, to zdanie moje mógł autor z „Ogniw“ odnaleźć choćby na początku omawianego artykułu, w ustępie zatytułowanym „Medal dla Pstrowskiego“, mógł odnaleźć je w wielkim artykule p. t. „W zmaganiach z mazurskim Smętkiem“ — gdzie, zawsze i wszędzie, raczej aż za bardzo rozszerzam pojęcie polskości i gdzie nieustannie zwracam właśnie uwagę na to, iż Ślązak i Mazur to przede wszystkim Polak. Więcej nawet, gotów jestem rozciągać nawet określenie „Polak“ na jednostki już zgermanizowane, gdyż ich repolonizację uważam za rzecz wykonalną. Zakończenie, które — nie wiem dlaczego — ukłuło autora z „Ogniw“ wyraźnie odnosi się do przyszłości Śląska (... w następnym pokoleniu...‘, „... i ten czas nadejdzie...“) i sprawę rozpatruję w pewnym generalnym aspekcie historycznym. Walka Polski i Niemiec o Śląsk jest faktem historycznym i będzie się jeszcze długo toczyć. Wolno chyba wyrazić piszącemu Polakowi opinię, iż ma nadzieję wygrania przez Polskę tej walki i że fakt zamieszkiwania Śląska przez żywioł polski jest dla niego sprawą zasadniczą? Nieprawdaż? A obojętnym jest czy będą mieszkać tu Polacy-Ślązacy czy Polacy-Kaszubi, czy Polacy - Mazurzy, czy Polacy-Warszawiacy, czy Polacy-Lubelanie?

Należy rozumieć, co piszą inni, gdy samemu chce się o nich pisać.

Sprawa jednak nie jest taka prosta i wykracza poza osobiste te umiejętności czytelnicze autora z „Ogniw“. Jest to rzecz zasadnicza i dlatego warta tych paru słów. Autor artykułu w „Ogniwach“ dlatego tak właśnie zrozumiał zakończenie mego „Śląska bez historii“, że cierpi razem z wielu innymi ludźmi-autochtonami, czy pół autochtonami a przybyszami z Polski na pewnego rodzaju przeczulenie. Przeczulenie, które — bądźmy obiektywni — jest zupełnie zrozumiałe na tle stosunków, jakie do niedawna jeszcze panowały między autachtonami a przybyszami z Polski centralnej. Przybysze z Polski centralnej i zza Bugu nader chętnie odróżniali Polaków i Ślązaków (czy Polaków i Mazurów), a znowuż w ośrodkach repolonizacji, jakimi są Uniwersytety Ludowe, spotykałem na każdym kroku młodzież śląską i mazurską, która sama deklarowała się, że mówi językiem „śląskim“ czy „mazurskim“ a nie „polskim“ i trzeba było dopiero tłumaczyć im, że to jest jedno i to samo. W rezultacie w pewnych grupach śląskich wytworzyła się niebezpieczna psychoza upatrywania w każdym słowie zamachu na polskość Ślązaków. Psychoza ta sprawiła, iż ci którzy jej ulegli stali się — niczem ów bohater noweli Lama — ludźmi ze szkła. Których nie wolno tknąć i którzy są niesamowicie podejrzliwi. Każda krańcowość jest fatalna i utrudnia skomplikowane sytuacje. Zbrodniczym jest odróżniać Polaków od Ślązaków w intencjach wydzielenia autochtonów w naszej narodowej społeczności, ale utrudnianiem sytuacji jest podejrzliwość, która tam wszędzie gdzie mowa jest tylko o Polakach — dopatruje się zaraz intencji anty-śląskich. Są to zresztą zupełnie identyczne postawy psychiczne, tylko przybierane w różnych intencjach. Postawy szkodliwe.

Kazimierz Koźniewski
(Kraków)

Lompa p. Enderówny

W numerze „Odry“ z 10 sierpnia br. w recenzji książki **Janiny Ender: Józefa Lompa** pisze p. Z. Hierowski, iż p. Ender zbadała m. in. nieopublikowaną korespondencję Lompy z J. Bartoszewiczem. P. Ender jednak oryginałów listów Lompy do Jul. Bartoszewicza na swoje oczy nie widziała, więc nie mogła ich badać. Korzystała tylko z kopij listów Lompy, przesłanych w maszynopiśmie do wydania „Instytutowi Śląskiemu“. Zużytkowując: a) odpisy listów Lompy (krytycznie przeze mnie zbadanych), b) przypiski moje (często z podaniem źródeł) do listów, nie powoływała się nieraz na mnie, do czego była zobowiązana. Wogóle o zbadaniu przez p. Ender listów Lompy do Jul. Bartoszewicza (czy zresztą innych źródeł) nie może być mowy i z tego względu, ponieważ praca p. Ender zawiera przede wszystkim zbiór różnorakich streszczeń, przy czym p. Ender dopuszcza się fałszowania treści (np. uwaga 44 jej pracy).

Aleksander Rombowski (Łódź)

„Pieśń o Bernadette“

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 33 „Odry“ znaleźliśmy Jego bardzo interesujący artykuł o książce Werfla „Pieśń o Bernadecie“.

Wobec końcowego zdania tego artykułu pozwalamy sobie donieść, iż Albertinum otrzymało od wydawcy oryginału pozwolenie na wydanie tłumaczenia polskiego wspomnianej książki. Przekład jest w pracy i prawdopodobnie w końcu roku bieżącego lub na początku przyszłego książka Werfla ukaże się w druku.

Albertinum
Księgarnia św. Wojciecha
(Poznań)

BRONISŁAWA i CZESŁAWA KORCZOWSKA poszukiwane są przez Bronisławę ŻOŁNO, m. Ełk, ul. Śląska nr 11, woj. białostockie. (37)

Pół miliona

Pół miliona złotych na nagrody literackie Ziemi Nyskiej.

Z inicjatywy Starosty Powiatowego W. Karugi i przy współudziale Powiatowej Rady Norodowej w Nysie pod przewodnictwem Ob. St. Zakrzewskiego zebrany został fundusz, który przekazano oddziałowi Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Nysie, celem rozpisania konkursu na dzieło literackie lub naukowe związane tematycznie z Ziemią Nyską. Zgodnie z powyższym Tow. P. N. ogłasza konkurs na pracę literacką o Ziemi Nyskiej wyznaczając kwotę pół miliona złotych na nagrody:

I nagr. wyn. 250.000 zł,
II „ „ 100.000 „
III „ „ 50.000 „

oraz 100.000 złotych na nagrody dla dalszych wyróżnionych utworów. Termin składania prac upływa dnia 31 marca 1948 r. Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi dnia 3 maja 1948 r., rozdanie nagród dnia 9 maja tegoż roku.

Prace zaopatrzone godłem należy zgłaszać bezimiennie w 3-ch egzemplarzach dołączając zalakowaną kopertę z oznaczeniem godła oraz podaniem tytułu dzieła i nazwiska autora łącznie z adresem wewnątrz koperty. Otwarcie kopert nastąpi po dokonaniu oceny przez jury, którego skład zostanie ogłoszony dodatkowo. Wejdą doń przedstawiciele Zw. Z. Literatów Polskich w Katowicach i Wrocławiu, Instytutu Śląskiego, Tow. Przyjaciół Nauk w Nysie oraz Władz Państwowych i Miejskich w Nysie. Wszelkich informacji udziela Zarząd TPN Nysa, ul. Sobieskiego 2, Państwowe Gimnazjum i Liceum.

Tydzień Katowic

8. 9. — 14. 9. 47.

Plastyka

13. IX. Staraniem Towarzystwa Przyjaźni Polsko - Bułgarskiej otwarto w Wojewódzkim Domu Kultury w Katowicach, przy ul. Francuskiej 12, pośmiertną wystawę bułgarskiego artysty malarza, ucznia Jana Matejki, Christo B. Kutewa 1867—1943). W uroczystości otwarcia wziął udział Dr Paweł Taragow, poseł bułgarski.

19. IX. W lokalu Śląsko - Dąbrowskich Targów i Wystaw w Katowicach przy ul. Pocztowej 5, otwarto wystawę karykatur Mieczysława Roleckiego.

Inne imprezy

14. IX. Staraniem Polskiego Radia i Wojewódzkiego Komitetu Odbudowy odbył się w Katowicach przy ul. Mariackiej 1, w Kawiarni Astoria „Podwieczorek przy mikrofonie“ na fali ogólnopolskiej. Wykonawcy: Mała orkiestra rozgłośni Polskiego Radia w Katowicach, pod Dyr. Konrada Bryzka oraz artyści opery, Maria Namysłowska (sopran) i Andrzej Hiolski (baryton). Akompaniował Jerzy Harald. Zapowiadali artyści Teatru Śląskiego, Jerzy Fitio i Stanisław Winczewski. Dochód przeznaczono na odbudowę Warszawy.

Wystawy w Szczecinie

Wystawa Książki Ziem Odzyskanych

Godną pochwały okazała się inicjatywa Polskiego Związku Zachodniego, który w ramach III Zjazdu Przemysłowego w Szczecinie urządził w gmachu Muzeum Morskiego wystawę książki i prasy, na którą złożyło się całe bogactwo wydawnictw, poświęconych tematyce Ziem Odzyskanych i niemcoznawczych. Wystawa objęła szereg instytucyj wydawniczych, dużych i małych, bardziej i mniej znanych, od „Czytelnika“ i „Książki“ począwszy, a na prywatnych nakładach, jak „Awir“ i Kamiński skończywszy, nie pominęła wydawnictw pomniejszych, prawie nieznanych, jak Spółdzielnia Wydawnicza „Zagon“ w Olsztynie, jak Księgarnia Opolska czy Wydawnictwo Diecezjalne w Opolu, „Polskie Pismo i Książka w Szczecinie“ i in.

Reprezentowane były wszystkie Instytuty: Zachodni, Bałtycki, Mazurski i Śląski, Wydawnictwo Zachodnie, Zachodnia Agencja Prasowa, PZZ, Biuro Studiów Osadniczo-Przesiedleńczych i Polska Akademia Umiejętności.

Z opracowań o Szczecinie, jakie zobaczyliśmy na wystawie, wymienić trzeba przede wszystkim nowość Wydawnictwa Zachodniego „Szczecin, fakty i liczby“, nawiasem mówiąc, książkę cieszącą się dużym zainteresowaniem na wystawie (20 sprzedanych egzemplarzy — informuje pracowniczka PZZ), dalej Piskorskiego „Zabytki piastowskie Szczecina“ i Lachnitta „Pod znakiem gryfa“ (wyd. „Polskie Pismo i Książka“ w Szczecinie) i in. Pożytecznie wydają się być broszurki, wydane przez Spółdzielnię Morską, zawierające monografie o miejscowościach nadmorskich i portach, jak „Świnoujście“, „Puck“, „Gdynia“, „Wolin“ itd. W parujęzycznych tłumaczeniach figurują informacyjno-propagandowe wydawnictwa ZAP-u: „Polska — Ziemie Odzyskane“ i „18 miesięcy pracy na Z. O.“ Na centralnym miejscu u nasady kolumny — oprawne komplety „Polski Zachodniej“ i „Odry“.

Wystawa Książki Ziem Odzyskanych cieszyła się ogromnym zainteresowaniem wśród uczestników III Zjazdu Przemysłowego, jak również i Konferencji Naukowej Instytutu Bałtyckiego, na której czas trwania została specjalnie przedłużona. W chwili, gdy ja ją zwiedzałem, rzeczowych objaśnień pracowniczki PZZ, słuchały pilnie dzieci szkolne, niech i one dowiedzą się czegoś o tym, co u nas czyni się dla Ziem Odzyskanych, na nich i o nich. Nawet te najmniejsze zapamiętają tam coś z tej wystawy zapamiętają. (wid)

Wystawa CZPH

Dobrze się stało, że zwiedzanie huty „Szczecin“ w Stołczynie zaczęło się od urządzonej specjalnie z okazji Zjazdu Przemysłowego wystawy CZPH. Zwiedzający wystawę dziennikarze, bo to z nimi wypadło mi zwiedzać wystawę, skrzętnie notują uwidocznione na wykresach cyfry. I tak np. koszta odbudowy huty „Szczecin“: r. 1946 — III kw. 8.500.000 zł; IV kw. 14.000.000; r. 1947 — I kwartał 22.500.000; II kw. 27.500.000; III kw. 35.000.000; zatrudnienie 1947 — lipiec 1248, czerwiec 1110, maj 944; albo: produkcja surówki 1947 — sierpień 4.300 t (plan 3.500); lipiec 3.450, czerwiec 2.885, maj 1.200. Od maja do sierpnia wzrost produkcji o blisko 200%.

Z kolei fotograficzne reportaże z hut Górnego i Dolnego Śląska: „Zabrze“, „Szczecin“, „Łabędy“, „Bobrek“, „Małapanew“, „Gliwice“, „Andrzej“... Jeszcze jakieś próbki, plany, a dalej już zaczyna się huta. Dane statystyczne przydały się. Reportaż z huty będzie dokonały. W „Odrze“ już taki ukazał się (w nr. 25—26, art. „Meldunek z huty Stołczyn). Poprzestajemy więc na tym zwięzłym omówieniu wystawy. (w)

Krótkie spięcia

Casus Grzybowski

Kłopot jest z tym całym E. Grzybowskim. Przypomina on do pewnego stopnia węża morskiego (bez obrazy dla węża). Co jakiś czas bowiem zjawia się biedak na łamach prasy, chcąc za wszelką cenę rehabilitować się ze swoich humorystyczno-żałosnych wystąpień szczecińskich w sprawie Rostworowskiego, Zapolskiej i Moliera, potem znowu znika, a potem znów się zjawia, jak zawsze długi, tasiemcowy i kręty, bez początku i końca, bez humoru. Jest to III klasa gazeciarskiej pisaniny, marna i rozklekotana, bez drzwi i okien, która nie powinna już nigdzie kursować, nawet na najbardziej zapadłych liniach. Tymczasem, djabli wiedzą dlaczego, co jakiś czas kursuje.

Ostatnio na ten przykład tenże E. Grzybowski znowu wyruszył w mętną podróż swoją III klasą, wybrawszy do tego celu linię „Świata Młodych“ oraz linię „Trybuny Dolnośląskiej“, które to linie na skutek owej podróży bardzo poważnie się zdeklasowały. Mniejsza jednak o nie.

Wyruszył więc E. Grzybowski w tę podróż babci dookoła stołu i zajął się w obydwu wyżej cytowanych pismach kauzyperdzkim tłumaczeniem się, że właściwie on jest niewinną ofiarą, a tylko ten brzydki Niejaki X w „Odrze“ czy też w „Dzienniku Zachodnim“ szkaluje go, używając przy tym nieparlamentarnych wyrazów. No i że w ogóle — szkoda gadać.

Cóż zatem w takich warunkach nieszczęsny E. Grzybowski ma czynić? Zdawałoby się, że jedynie siąść i płakać. Ale E. Grzybowski prócz siedzenia i płakania zrobił jeszcze jedną rzecz. Napisał mianowicie tak:

„...Zadałem sobie trud przejrzenia „felietonów“ p. Niejakiego X w „Dzienniku Zachodnim“ od listopada ub. roku aż do tej chwili i stwierdziłem ze zdziwieniem, że niejaki p. Niejaki X „atakuje“ jedynie urzędy państwowe, organizacje społeczne, Związki Zawodowe, Związek Walki Młodych itd., natomiast ani słówka nie poświęca takim zagadnieniom, jak np. spekulacja czy szabrownictwo, nie używa swego dowcipu na ośmieszanie np. obszarników, spekulantów czy kombinatorów.

Chciałbym postawić pytanie, czy gatunek „publicystyki“ uprawianej przez Niejakiego X jest pozytywny, czy też jest to działanie destrukcyjne?“

Od tej chwili wszyscy będziemy nazywali E. Grzybowskiego — stójkowym E. Grzybowskim. Stójkowy E. Grzybowski napisał bowiem donos, a pisywanie donosów należy do obowiązków stójkowych.

„Donoszę — napisał tedy stójkowy E. Grzybowski — że Niejaki X jest antypaństwowym miazmatem, czarnym reakcjonistą i jawnym wrogiem demokracji, a więc, czy nie nawet zakapturzonym członkiem NSZ. Należy się dziwić, że taki typ chodzi jeszcze na wolności. Trzeba więc albo go zamknąć do kryminału, albo zakazać mu pisać. Szerzy bowiem i sieje destrukcję, reakcję i obstrukcję. Tak donoszę ja, stójkowy III klasy E. Grzybowski.“

Stójkowemu E. Grzybowskiemu wypada zatem odpowiedzieć:

— Słuchajcie stójkowy E. Grzybowski! Donosy możecie sobie pisać, ile razy tylko przyjdzie wam na to ochota. Ani mnie to ziębi, ani grzeje. Ale na miły Bóg, stójkowy E. Grzybowski, nie zabierajcie już więcej nigdy głosu w sprawie teatru, literatury, sztuki, publicystyki i tym podobnych rzeczy! Jesteście na to, stójkowy E. Grzybowski, za mało inteligentny. Naprawdę. No, co robić... Bardzo mi jest z tego powodu żal, stójkowy E. Grzybowski, ale nie moja w tym wina. Donosy wprawdzie umiecie pisać, stójkowy E. Grzybowski, ale do pisania donosów nie trzeba inteligencji. Wystarczy, że się jest stójkowym.

A więc weźcie te szczere słowa sobie do serca, stójkowy E. Grzybowski, i pies z wami tańcował.

Niejaki X.

Materiały farbuj tylko barwnikiem bo jest gwarantowany i daje trwałe i piękne kolory

(36)

»ORION«

Składnica Fabryczna: Katowice, ul. Stawowiejska 3, telefon 354-64

Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik“. Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry“. Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telefon 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49. Tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik“, 3 Maja 12. Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik“, Katowice, ul. 3 Maja 12.

R 26300